

ŚWIAT

MISTRZ SZYBKÓŚCIOWYCH WYTOPÓW

BRYGADY MŁODZIEŻOWE W HUCIE „KOŚCIUSZKO” OSIĄGAJĄ BARDZO DOBRE WYNIKI WE WSPÓŁZAWODNICTWIE PRACY. ZMP-OWIEC H. KOWOL, I-SZY WYTAPIACZ, WRAZ ZE SWĄ BRYGADĄ PROWADZI SZYBKÓŚCIOWE WYTOPY STALI



Zdjęcie „Świat” — W. Stawny

Nr 4 (27) — Rok II

27 STYCZNIA 1952

CENA 1²⁰ ZŁ

UMOWA KULTURALNA POLSKO-NIEMIECKA



Zacieśniają się więzy przyjaźni i współpracy łączące Polskę z NRD. Zawartą ostatnio w Berlinie umowę kulturalną między obu krajami podpisują minister spraw zagranicznych NRD Dertinger, i ambasador Izydorczyk.

ZGON JERZEGO BOREJSZY



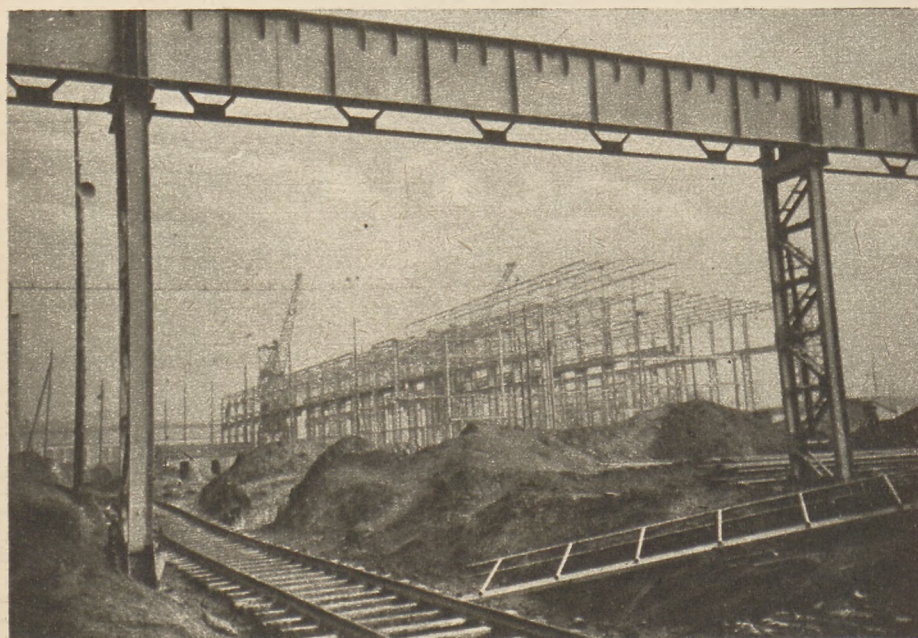
CAF
W dniu 19 stycznia br. polski świat kulturalny poniósł bolesną stratę. Po długotrwałej chorobie zmarł w Warszawie działacz KPP i PPR, zastępca członka Komitetu Centralnego PZPR, wybitny publicysta i działacz kulturalny Jerzy Borejsza.

Z ŻYCIA LUDOWEGO WOJSKA



Codzienną, wytężoną pracę podnoszą żołnierze Ludowego Wojska Polskiego swój poziom wyszkolenia politycznego i bojowego. Plut. Czesław Reszka sprawdza przez szkło kontrolne prawidłowość celowania z pistoletu maszynowego.

ROŚNIE NOWA HUTA



CAF
Dzięki pełnemu poświęceniu i zapałowi wysiłkowi młodzieżowych brygad budowlanych oraz pomocy jakiej udziela nam Związek Radziecki w dokumentacji technicznej i maszynach, rośnie i potężnieje budowa kombinatu Nowa Huta.

RADOŚCI ZIMY



CAF
Mimo panującej w całym prawie kraju jesiennej, deszczowej pogody, w Zakopanem zima zjawiała się w całej pełni. Liczni wczasowicze korzystając ze wspólnych warunków śniegowych masowo uprawiają piękny sport narciarski.

PRZECIWKO PLANOWI SCHUMANA



Keystone

Oskar Mueller, jeden z przywódców komunistów zachodnio-niemieckich, przemawia na demonstracji w Frankfurcie nad Menem, zwołanej na znak protestu przeciwko uchwaleniu przez „Bundestag” w Bonn t. zw. planu Schumana, który stanowi gospodarczą podstawę remilitaryzacji Trizonii i odrodzenia „Wehrmachtu”.

SUKCESY WOJSK LUDOWYCH W VIETNAMIE



Keystone

Zołnierze Wietnamskiej Armii Demokratycznej przeprawiają się przez rzekę w rejonie Hoa Bing, gdzie wojska francuskich okupantów poniosły ostatnio poważne straty i doznały ciężkiej porażki. Ofensywa francuska w tym rejonie załamała się, do czym wojska wietnamskie przeszły do zwycięskiej kontr-ofensywy.

WYBORY W INDIACH



Keystone

Zaprężonymi w bawoły wozami ciągną wyborcy z podmiejskich okolic do lokali wyborczych w Kalkucie. Wybory w Indiach przyniosły duży sukces Zjednoczonemu Frontowi Lewicy, któremu przewodzi Komunistyczna Partia Indii.

LUD TUNISU DEMONSTRUJE



Keystone

Tysiące mieszkańców Tunisu demonstrują na ulicach przeciwko francuskim kolonizatorom. Policja zaatakowała demonstrantów, strzelając w tłum. Byli zabici i ranni. Strajk protestacyjny objął wszystkie większe miasta kraju. Komunistyczna Partia Tunisu wezwała naród do walki o całkowitą niepodległość.

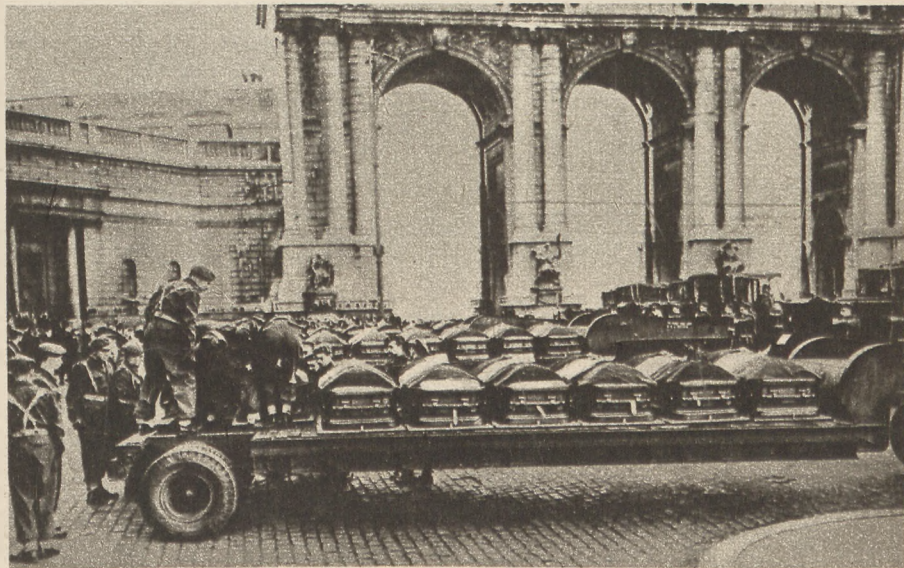
KATASTROFA LOTNICZA W IRLANDII



Keystone

Ekipa ratownicza przenosi szczątki zwłok ofiar strasznej katastrofy lotniczej, która wydarzyła się w ub. tygodniu w Irlandii. Samolot pasażerski zapalił się w powietrzu i runął na ziemię. Dwudziestu trzech pasażerów oraz trzech członków załogi poniosło śmierć. Poszukiwanie zwłok trwało parę dni.

MIEŚO ARMATNIE IMPERIALIZMU



Keystone

W tych dniach ulicami Brukseli przeciągnęły długie kolumny trumien ze zwłokami żołnierzy belgijskich, którzy polegli w Korei za obcą sobie sprawę amerykańskiego imperializmu, próbującego cudzą krwią okupić swe panowanie.



Fot. CAF

*Ci, co ryli na ścianach cel
paznokciami gorące słowa:
„Niechaj żyje walka klasowa
i socjalizm! SDKPL“,*

*ci, co nieśli, patrząc surowo,
obnażone szyje pod stryk —
i nic więcej, tylko ten krzyk:
„Towarzysze! Za Polskę Ludową!“*

*ci, co stali pod chmurą bomb,
w ogniu złotym wolności i sławy
wyzywając żelazny grom:
„Naprzód, mściciele Warszawy!“ —*

*oto nasi nauczyciele:
myśl i serce proletariatu.
Nauczyli nas w życiu wiele.
Nieśmiertelna chwała im za to!*

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

wiersz p.t. „Nauczyciele“
z tomu „Wiersze i poematy“



WESOŁOWSKI

ŻYCIE i WALKA WIELKIEGO POLAKA

ZYŁ lat 48, i z tego 20 lat spędził w więzieniach, na zesłaniu i osiedleniu. Żył lat 48 — i 35 lat swego życia poświęcił walce rewolucyjnej.

Cenił go Dzierżyński i Marchlewski, z którymi razem pracował, podziwiali rosyjscy rewolucjoniści, którym pomagał na zesłaniu. Znał go Lenin, kochał polski proletariatus. Żył i działał, szanowany i lubiany przez towarzyszy walki. Zginął zamordowany nikczemnie przez wrogów, którzy się go bali.

Zyciorys Bronisława Wesołowskiego — to jedna z najpiękniejszych kart w historii walk naszego narodu o wolność prawdziwą i trwałą.

Wesołowski pochodził ze średnio zamożnej rodziny ziemiańskiej. Naukę rozpoczął w Rawie Mazowieckiej, by później zamieszkać w Warszawie, u swej starszej siostry i wstąpić do gimnazjum.

Młody, żądny wiedzy o świecie gimnazysta — szuka kontaktów z kołami rewolucyjnymi. Znajduje je. Za pracę niefalegalną zostaje usunięty z gimnazjum.

W warszawskich szkołach nie ma więcej miejsca dla „podejrzanego” Wesołowskiego. Uda się zatem do Płocka i tam zda egzamin maturalny jako ekstern.

Na dalsze studia wyjeżdża do Zurychu. Nęciła go jednak nie sława najlepszej szwajcarskiej politechniki. W Zurychu przebywa w tym czasie (1891) Marchlewski, Róża Luksemburg; do Zurychu przyjeżdża często Lenin, czasem Engels. Tu Wesołowski dojrzewa jako rewolucjonista, tu staje się jednym z założycieli Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy.

W roku 1894 Wesołowski wraca do kraju już jako wybitny działacz partyjny. Tu, wkrótce po przyjeździe, organizuje I Zjazd SDKPiL. Działalność jego zwraca jednak uwagę policji: Wesołowski zostaje

aresztowany i jako „niebezpieczny rewolucjonista” osadzony w osławionym X pawilonie Cytadeli Warszawskiej.

Przez trzy lata przebywał Wesołowski w Cytadeli, by wreszcie otrzymać wyrok: zesłanie na Sybir, do Wierchojańska.

Wierchojańsk... Niewielu zesłanych powracało z tej miejscowości, położonej za kołem polarnym. Tam kierował carat najzgorzańszych wrogów samowładztwa.

W przeddzień wyjazdu pozwolono Wesołowskiemu zobaczyć się z rodziną. Oto jak opisuje to spotkanie młodziutka wtedy siostrzenica Wesołowskiego, J. Jasiobędzka:

„Ostatnie widzenie odbyło się bez krat. Wpuszczono nas t.j. babunię¹⁾, matkę²⁾ i mnie do izby, w której stała w rogu ławka i dwa stołki... Otworzyły się drzwi boczne i ukazał się wujaszek Bronio pod eskortą. Straż cofnęła się, a wuj siadł wśród nas. Pozwolono nam swobodnie rozmawiać, ale niewiele dało się powiedzieć, gdyż cisnące się lzy ścisnęły za gardło; tylko wujaszek Bronio trzymał się dzielnie, mówił jak najpogodniej, pocieszał stroskane kobiety, że wróci zdrów... Pozwolono jeszcze na sfotografowanie wuja na tle krat więziennych...”

Wierchojańsk nie złamał Wesołowskiego. Ba, „Smutny” (taki nosił partyjny pseudonim) całą swą ruchliwą, czynną naturą zajął się nie tylko urządzaniem się, ale i okazywaniem pomocy miejscowej ludności.

Wesołowski nie był sam. Przebywał w zwartym kolektywie ośmiu zesłańców politycznych, Polaków

i Rosjan. Jeden z nich, członek leninowskiej SDPRR³⁾, Liadow, tak wspomina pobyt w Wierchojańsku:

„Wesołowski ujawniał ogromną energię i inicjatywę, umiał zawsze znajdować pracę. Jednym z naszych najbardziej oryginalnych pomysłów było zorganizowanie cegielni, a następnie budowa pieców. Największą inicjatywę ujawniał Wesołowski, który oczywiście zdunem nie był, toteż pierwszy nasz piec postawiliśmy według podręcznika fizyki...”

O atmosferze, jaką potrafili zesłani rewolucjoniści stworzyć w miejscu swego pobytu, świadczy wymownie zabawny incydent, odnoszący się do roku 1901, do okresu wystąpień studenckich w Moskwie. Cytujemy znów według wspomnień Liadowa:

„Po odbiór poczty poszliśmy z Wesołowskim do urzędu policyjnego, pochwyciliśmy ostatnie gazety i zaczęliśmy je czytać na głos tamże na miejscu, w obecności inspektora⁴⁾. Po przeczytaniu o wydarzeniach w Moskwie Wesołowski zaczął krzyczeć „hura”. Podchodzi inspektor: „Co to — hura?” — „W Moskwie rewolucja!” Inspektor obydwu nas odprowadza na stronę... i pyta: „No, a jeśli rzeczywiście będzie konstytucja, czy pozwolicie mi dosłużyć do emerytury?... Przecież zawsze dobrze odnosiłem się do politycznych...”

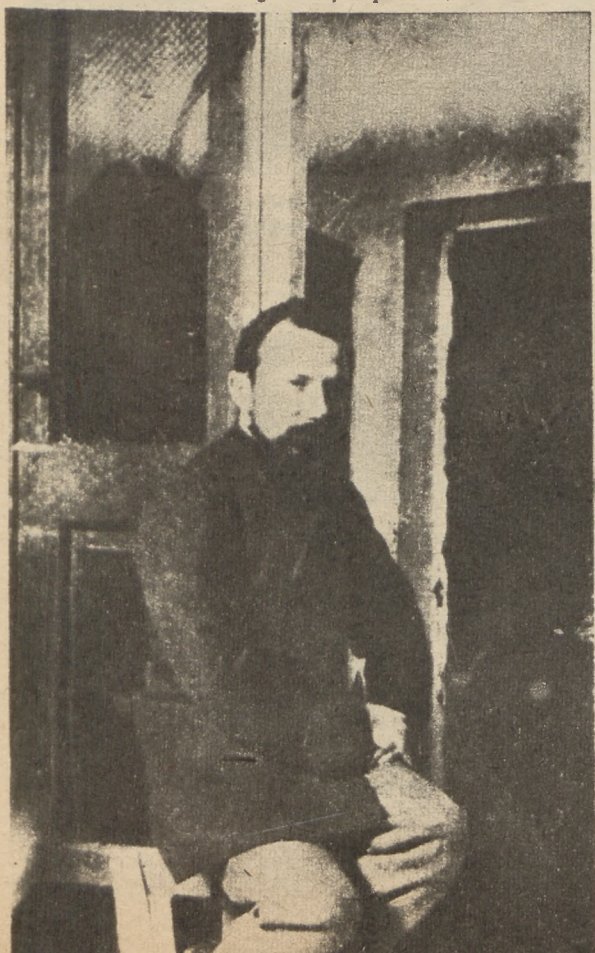
Upłynęło 6 lat zesłania. Wesołowski zostaje w roku 1904 skazany na osiedlenie na terenie Rosji. Wybiera Kijów, by być jak najbliżej kraju. Wiosną 1905 roku otrzymuje list z Warszawy, od Dzierżyńskiego: jest potrzebny w Warszawie, w robocie rewolucyjnej.

3) Socjaldemokratyczna Partia Robotników Rosji.

4) Niższy urzędnik policji carskiej.

Ciąg dalszy na str. 6

Bronisław Wesołowski w roku 1897 — zdjęcie zrobione w X pawilonie Cytadeli, w przeddzień zesłania.



Wesołowski (pierwszy od lewej) w mieszkaniu kuzyna Mieczysława Rudzińskiego (rok 1906). Na strychu



nad mieszkaniem znajdowała się tajna drukarnia, z której rozchodziły się odezwy i ulotki SDKPiL.

Po miesiącu jest już w Warszawie — i z miejsca przystępuje do pracy. W mieszkaniu, wynajętym razem z siostrą przy Królewskiej 31, organizuje konspiracyjne biuro SDKPiL. W innym mieszkaniu za kładą nielegalną drukarnię odezw i ulotek.

W okresie wzmożonego terroru policji carskiej, jesienią 1906 roku, Wesołowski zostaje ponownie aresztowany i osadzony w Brześciu. Jednakże towarzyszący mu udaje się wykupić towarzysza „Smutnego” z więzienia. Miało to ogromne znaczenie dla działalności SDKPiL, gdyż w tym czasie — po aresztowaniu Dzierżyńskiego i Marchlewskiego — kierownictwo pracą partyjną w kraju mógł objąć tylko Wesołowski.

W maju 1907 roku Wesołowski bierze udział — z ramienia SDKPiL — w V zjeździe SDPRR w Londynie, gdzie popiera leninowskie stanowisko: zdecydowanej walki z partiami jawnie kontrrewolucyjnymi i możliwości czasowego sojuszu z tzw. partiami pracy i narodników⁵⁾. Dzięki rewolucyjnemu stanowisku socjaldemokratów polskich i lotewskich Zjazd zakończył się zwycięstwem bolszewików.

Po niespełna miesiącu towarzysz „Smutny” wraca do kraju, do pracy. Znów zebrania, odczyty, rozpowszechnianie broszur i ulotek, kierowanie strajkami, mozolna, niebezpieczna praca rewolucjonisty — praktyka. Aż nadszedł 25 lutego 1908 roku. Oto co pisze o tym wieczorze J. Jasiobędzka: „Gdy wpadł do mojej matki na posiłek, na Królewską 31, został przez towarzyszy uprzedzony, że żandarmi są już na podwórzu. „Żegnam cię Guciu, nie chcę Cię narażać” — i wybiegł. Lecz nie udało mu się przemknąć niepostrzeżenie. Aresztowano go w bramie domu...”

Wesołowski, zakuty w kajdany, został osadzony w Arsenale przy ulicy Długiej. Na rozprawę czeka do grudnia. Sąd wojenny skazuje go na 6 lat katorgi. Przez dwa lata przebywa Wesołowski w więzieniu w Łomży — ciągle jeszcze w kajdanach. Tu nowy wyrok: dożywotnie więzienie. „Smutnego” przewożą do Orła. Tam wreszcie pozbywa się kajdan i otrzymuje zezwolenie na pracę: wolno mu pleść koszyki do butli...

Już w czasie wojny światowej Wesołowskiego nagle przenoszą do dawnej gubernii Jenisejskiej (środkowa Syberia). Tu ma na zesłaniu pozostać do końca życia — tak brzmiał nowy wyrok.

Inny jednak wyrok napisała historia. Pod naporem gniewu mas ludowych carat zwał się w gruzy. Wieść o rewolucji lotem błyskawicy dotarła do więzień i miejsc zesłan a. Tysiące „politycznych” ciągnęły do Piotrogradu, Moskwy, Odessy, Baku, Krasnojarska — do ośrodków walki rewolucyjnej. W ich liczbie — towarzysz „Smutny”.

Natychmiast po przybyciu do Piotrogradu Wesołowski zgłasza się do pracy w partii, już wtedy legalnej. Zostaje skierowany na niezwykle odpowiedzialne stanowisko sekretarza Komitetu Centralnego SDPRR. Po blisko dziesięciu latach przymusowej bezczynności Wesołowski znów znajduje się w wirze

5) Partie w Rosji, wyrażające w tym czasie interesy drobnomieszczaństwa miast i wsi.

Wesołowski (w środku) w mieszkaniu siostry A. Jasiobędzkiej przy ul. Królewskiej 31. W dwóch poko-

walk rewolucyjnych — tym razem zwycięskich: Rewolucja Październikowa kładzie kres władzy wyzyskiwaczy na jednej szóstej naszego globu.

Wesołowski zostaje przeniesiony do Moskwy, gdzie otrzymuje znów odpowiedzialną pracę: zostaje wybrany sędzią Najwyższego Trybunału pierwszego państwa socjalistycznego. Ofiarność i poświęcenie wielkiego rewolucjonisty, jego oddanie sprawie ludu, jego uczciwość i sprawiedliwość — zostały tym samym należycie ocenione.

Koniec roku 1918. Młode państwo radzieckie pragnie uregulować sprawy sporne i nawiązać stosunki ze swym nowym zachodnim sąsiadem — z Polską. W tym celu wyjeżdża z Moskwy do Warszawy misja Czerwonego Krzyża. Na czele misji — Bronisław Wesołowski.

Zupełnie inne zamiary miał w tym czasie ówczesny rząd polski. Zachęcany przez Ententę Piłsudski parł do wojny, do zaborczej wyprawy na ziemie ukraińskie i białoruskie. I dlatego kontrrewolucyjny rząd Moraczewskiego ani myślał o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych z Krajem Rad. Wręcz przeciwnie — szukał sposobów zaognienia stosunków. Tym zbrodniczym celom miała posłużyć ohydna prowokacja.

Misja radziecka została w Warszawie aresztowana. Gdy na placu Saskim zebrały się wielotysięczne tłumy robotników, protestujących przeciw bezprawnemu aresztowaniu — żandarmi otworzyli ogień. Na placu pozostało sześciu zabitych.

W stolicy zawrzało. W obawie przed nowymi wystąpieniami, misję — Wesołowskiego i czterech towarzyszy — przeniesiono do twierdzy, następnie odstawiono na dworzec. Stąd aresztowanych powieziono w stronę granicy radzieckiej. Po drodze żandarmi konwojenci przebrali się w cywilne ubrania. Z jednej ze stacji, w pobliżu Łap, zawieziono aresztowanych do wsi Mień. Tu żandarmi odprawili furmanów i poprowadzili delegatów do pobliskiego lasu. Aresztowanym odebrano rzeczy, pieniądze, dokumenty... Czyżby się miało skończyć na rabunku? Nie taki był rozkaz...

Ciszę przerwał huk wystrzałów. Od kul żandarmów — zbrodniarzy padł Wesołowski, padli inni członkowie misji: dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Zabójcy spokojnie oddalili się: rozkaz wykonany, można dzielić się łupami.

To bezprzykładne morderstwo miało pozostać tajemnicą. Stało się jednak inaczej. Jeden z członków misji, L. Alter, nie został zabity, lecz tylko ranny w szyję. Dzięki opiece i pomocy chłopów udało mu się dotrzeć do Mińska.

Płynęły lata. Ginący świat nie raz próbował kulą żandarma i skrytobójcy odwrócić bieg historii. Hibner, Nowotka, Fornalska, Świerczewski... Najlepsi synowie narodu, członkowie SDKPiL, KPP, PPR — ofiarą życia własnego opłacali każdy etap walki, każdy krok do zwycięstwa. I z krwi bohaterów wyrosła Ludowa Ojczyzna, silniejsza i piękniejsza z rokiem każdym.

Jach tego mieszkania znajdowało się biuro SDKPiL. Pieczęcie partyjne przechowywano w wentylatorze

Polska

we...

Flotencji

W czasie „Tygodnia Polskiego“, trwającego we Florencji od 10 — 16 grudnia 1951 roku, czynna była wystawa o Polsce Ludowej zorganizowana przez włoski Komitet Przyjaciół Polski. W czasie tego tygodnia odbyło się wiele imprez, ale wystawa była z nich wydarzeniem najważniejszym.

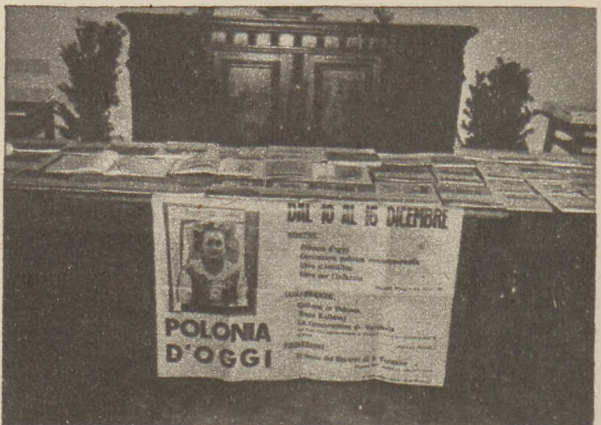
Tematyka wystawy była bardzo różnorodna. Fotografie i eksponaty przedstawiały poszczególne dziedziny naszego życia — a więc „Polska Współczesna“, „Współczesna karykatura polityczna“, „Literatura naukowa“.



Wystawę o Polsce Ludowej zwiedzili wybitni przedstawiciele świata pracy, artyści i naukowcy. Na zdjęciu: profesorowie Verdiani i Cini na wystawie.



Zwiedzający z zainteresowaniem oglądali na wystawie polską karykaturę polityczną.



Wydawnictwa książkowe z różnych dziedzin, ilustrowały nasz dorobek w zakresie piśmiennictwa.



AMONIAK WYDOBYWAJĄCY SIĘ Z URZĄDZEŃ CHŁODNICZYCH, OŚLEPIŁ KILKU PASAŻERÓW.

„AMERYKAŃSKI STYL ŻYCIA” NA MORZU

ARGENTYŃSKI transatlantyk „Maipu” (wyporność 11.515 ton) płynął spokojnie z Amsterdamu do Hamburga. Kiedy znajdował się o ok. 25 na pñ. zach. od wyspy Wangerooge, morze zaległa gęsta mgła. W jadalni służba nakrywała do stołów. W łazienkach okrętowych napełniano wodę do wanien. Statek rozpoczynał dzień...

Większość pasażerów pogrążona jeszcze była we śnie, jedynie na pokładzie bawiło się już ośmioro dzieci. O godzinie 7.32 argentyńskim motorowcem wstrząsnęło potężne uderzenie. Światło zgasło. Wnętrze statku wypełniło się gęstymi oparami amoniaku, wydobywającego się bezustannie z rozbitych urządzeń chłodniczych. Transatlantyk, jak ranne zwierzę, legł na boku...

Uprzednio wypłynął z portu w Bremie amerykański transportowiec wojskowy „General M. L. Hersey” (10.000 ton wyporności), wiozący na pokładzie 3.000 żołnierzy Stanów Zjednoczonych. Transportowiec płynął z całkowitym lekceważeniem międzynarodowych zasad żeglugi i uderzył „Maipu” wybijając wyłom w burcie, przez który — jak twierdzą świadkowie — mógłby wjechać do wnętrza statku autobus. Po trzech godzinach, transatlantyk argentyński poszedł na dno — zaś transportowiec amerykański, jakkolwiek tylko nieznacznie uszkodzony i zdolny do udzielenia pomocy rozbitek, popłynął dalej, nie troszcząc się o los pasażerów i 158-osobowej załogi. Widocznie odwieczna tradycja solidarności i pomocy na morzu jest sprzeczna z „amerykańskim stylem życia”.



WSZYSCY PASAŻEROWIE OPUSCILI POKŁAD, PO TRZECH GODZINACH — OKRĘT ZATONAŁ.

POTWORY SPRZED MILIONA STULECI



Paleontologów — uczonych, badających szczątki wymarłych dawno zwierząt — od długiego czasu nęciła pustynia Gobi. Terytorium pustyni od wielu milionów lat nie było zatapiane przez morze i dlatego winny się były na nim dobrze zachować szczątki zwierząt, żyjących w odległych epokach.

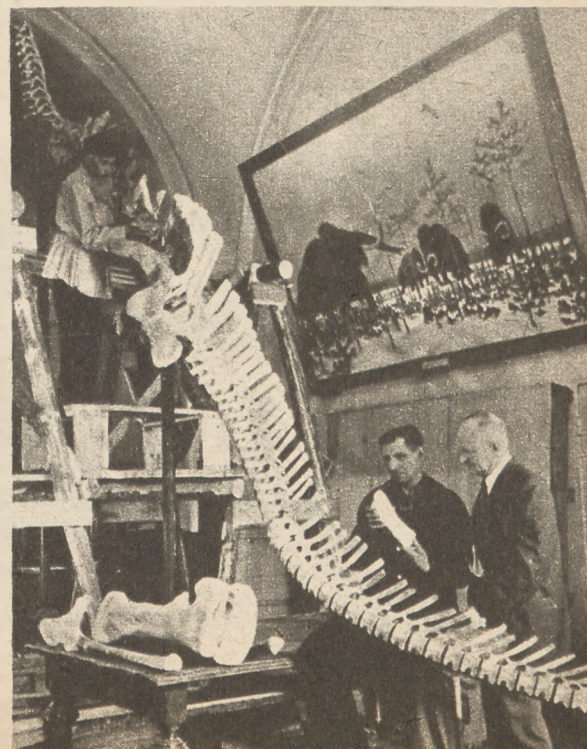
Wielką ekspedycję paleontologiczną na pustynię Gobi zorganizowała w r. 1947 Akademia Nauk ZSRR. Ekspedycja przeszła cztery lata. Wyniki jej przeszły wszelkie oczekiwania. Znaleziono wielkie ilości nie tylko resztek, ale i całych szkieletów dawno wymarłych zwierząt.

Szczególnie bogato reprezentowane były szkielety dinosaurów, żyjących około 65.000.000 lat temu.

Znalezione szkielety po dokładnym zbadaniu przez naukowców montuje się pod kierownictwem prof. K. Flerowa (na zdjęciu u góry). Będą one udostępnione zwiedzającym w Muzeum Paleontologicznym w Moskwie.



U góry: montowanie szkieletu „malutkiego”, czterometrowego dinosaura-drapieżnika. U dołu: fragment szkieletu 11-metrowego dinosaura roślinożernego. Zwróćcie uwagę na „kostkę” leżącą na stole!





Trudno o lepsze warunki dla dyskusji i koleżeń-
skiej krytyki. Po środku sali twórcy, na ścianach —

ich dzieła, których omówieniu poświęcono część
obrad Walnego Zjazdu Plastyków w „Zachęcie”.

SEJM PLASTYKÓW

Zdjęcia: JAN KOSIDOWSKI

NIKT z plastyków polskich nie wątpi w wiel-
kość ogarniających nas przemian. Nikt nie
pozostaje obojętny wobec uroku rozkwitające-
go wokół nas życia. Idziemy mu na przeciw. Wstę-
chujemy się w jego tętno. Wpatrujemy się w jego
oblicze.

Jak ogarnąć te nowe, żywe prawdy, jak zrozumieć
ich sens istotny, jak wyrazić ich treść wewnętrzną?
— powiedział jeden z malarzy na obradującym
w salach warszawskiej „Zachęty” Walnym Zjeździe
Polskich Artystów Plastyków.

O doniosłym znaczeniu tego Zjazdu świadczyła
obecność delegacji plastyków Związku Radzieckie-
go i państw demokracji ludowej. Świadczył rów-
nież fakt, że przybyli na Zjazd wybitni reprezen-
tanci postępowej sztuki „świata zachodniego”, w
którym — jak powiedział delegat francuski, André
Fougeron... — „jedynym miarodajnym krytykiem
artystycznym jest uzbrojony w pałkę policjant”.

*

Zebrało się w „Zachęcie” ponad trzystu delega-
tów z wszystkich krajowych okręgów plastycznych,
ażeby wspólnie przedyskutować, co na II Ogólnopolskiej
Wystawie jest „złe”, a co jest „dobre” i
dlaczego. Warunki do dyskusji były wymarzone.
Wyobraźcie sobie ogromne sale wystawowe pełne
obrazów, rzeźb i rysunków. Dyskutanci mogli więc
na „żywych przykładach” uzasadniać słuszność
swoich tez i argumentów.



Obrady Zjazdu Plastyków już dawno się skończyły,
ale Tadeusz Kulisiewicz (w środku) prowadzi jesz-
cze gorącą dysputę z Eugeniuszem Eibischem.



— Co mi się najlepiej podoba na wystawie? Nie
powiem przecież, że mój własny obraz — śmieje się
Aleksander Kobzdej, stojąc przed swoim dziełem.



Delegacja plastyków radzieckich. Po środku malar-
ka Jabłońska, wśród polskich koleżanek i kolegów



— Takie oto rysunki o tematyce społecznej, wydała
ostatnio grupa angielskich malarzy postępowych —
mówi wybitny grafik angielski, Paul Hogarth.



Budowniczy Polski Ludowej — Xawery Dunikowski.
Dyskusja jest niewątpliwie ciekawa. O czym roz-
mawiają? Nie ma wątpliwości — oczywiście o rzeźbie.



Delegaci zagraniczni (od prawej): Ch. H. Beckman
(Holandia), W. Kaufmann (Austria) i C. Peiser
(Belgia) omawiają przebieg pierwszego dnia obrad.

PRZECIW ZAGŁADZIE

WOJCIECH ŻUKROWSKI

TAK, to już siedem lat. Pamiętają dobrze pierwszy nieśmiały krok poza druty, poprzez wyrwę w ogrodzeniu rozprutym czołgami. Jakby się przekroczyło śmierć. Druty nie grają, można ich dotknąć nagą ręką.

Nawet powietrze po drugiej stronie miało inny smak, odurzało. Lotne obłoki przewlewały po niebie, zaśnieżone były w oczy blaskami. Tamten styczeń zapachniał nagle gwałtowną zmianą jak na przedwiośniu.

Po raz pierwszy od lat nie drżeliście patrząc na rzekę aut, na działa i czołgi. Gdy omijały zator na szosie, cięły pola na przełaj, pył śnieżny spod gąsienic tęczo się mienił pod słońcem. W otwartych wieżyczkach stali żołnierze i pozdrawiali was dłonią.

Inni szli rowami z obu stron drogi. Znali przekłętą nazwę tego miejsca — Auschwitz. Wstępowali między baraki. Nie fotografowali, nie szukali okropności, dreszczów, nie zadawali natrętnych pytań. Patrzyli długo, w milczeniu, a potem, jakby was chcąc pocieszyć, mówili z powagą — „Adziemy na Berlin, zwyciężamy faszystów, możecie wracać do domu!”

Byli szczerze zmartwieni, jeśli okazywało się, że miasto, z którego pochodziłeś, było jeszcze na linii frontu, lub po tamtej stronie. „My je wyzwolimy” — mówili, jakby to było ich osobistym zobowiązaniem.

Odchodzili powoli upartym krokiem. Chłopów przemierzających zagony, gubili się w rzece piechurów. Już nie potrafili ich wyłowić z burawej gromady mającej między wierzbami.

Została ci tylko pamięć szerokiej, otwartej twarzy pod uszatą czapką, jasnego spojrzenia, życzliwości, gdyś się zaciągali cierpkim dymem machorkowego skręta, grubego jak palec.

Ale wystarczyło tylko głowę odwrócić. Za plecami opręd drutów, wieżki wartownicze, dachy baraków z frendzlą drobniutkich sopli i niebo porywające spojrzenia.

Oto widzisz, jak twoi towarzysze niezdarnie wspinają się na dach, wywieszają sztandary. Czerwień, w której zanurzyli zdrętwiałe palce, rozgrzewa ich jak płomień ogniska.

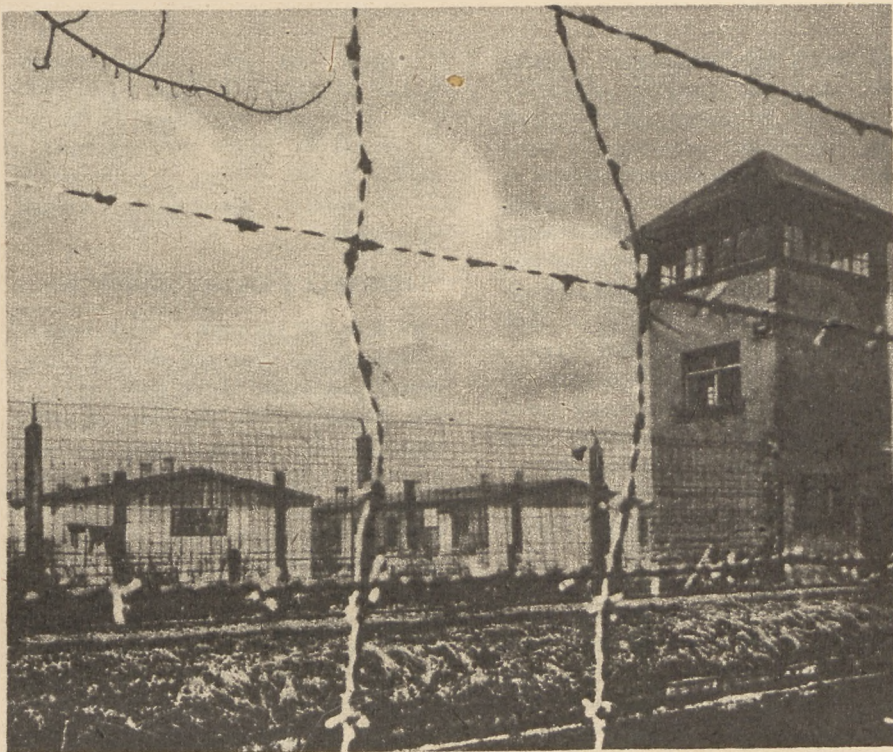
Słyszysz? W językach wszystkich narodów zdeptanej Europy, śpiewają tę samą pieśń. Nie wstydź się łez, niech toczą się jawnie po wychudłych policzkach. Jakże głębokiego znaczenia nabierają znane ci słowa — „wyklęty powstań ludu ziemi...” i „bój to będzie ostatni...” Wiem, że wtedy przysięgałeś sobie — dopóki serce tętni w piersi — nie zbraknie cię w szeregu!

A powrót do domu, którego jakże często brakło? Doświadczyłeś w czasie wędrówki tyle życzliwości ludzkiej, że znałeś ją za oczywistą w tym nowym świecie, bo przecież inny musiał się wyłonić z potopu.

Wlokły się tłumy ocalałych więźniów. Hąbiący strój, w który cię

odziali dozorcy, stawał się najlepszą legitymacją. Ręczyli za ciebie wszyscy polegli, ci z których popioły rozwiał wiatr.

Długa droga. Pamiętasz — na początku, twarzą w śniegu, jakby go raziło styczniowe słońce, leżał zabity esesman, wzdrygnąłeś się, ale już wraca spokój — gdy spostrzegłeś, że na głowie okutej czerepem hełmu siada wróbel, zupełnie, jak na przydrożnym kamieniu.



Nim doszedłeś do domu, zdążył cię osmalić rzeźwy wiatr przedwiośnia... Daleko było do rodzinnych stron. Pamiętasz powoli sunące gromady. Szli czarnoocy Grecy, kędzierzawi Włosi, tanecznym krokiem przebiegały Cyganki, żadna nie chciała wrócić...

Dziewczęta rosyjskie uprowadzone na roboty wracają teraz na ciężarówkach, objawiając się ramionami śpiewały. Głosy ich niosły się długo, z daleka podobne do muzyki organowej.

Opowiadała mi młoda kobieta o powrocie do Warszawy, o wkroczeniu na swoją ulicę — „dom był spalony, ale piętra zostały, pogrzebałam w popiele i znalazłam naparstek mojej matki... Zacisnęłam go w dłoń. Pomyślałam o ręce, która mnie tyle razy gładziła po rozwichrzonych włosach, ale i włosów nie było... Nagle spostrzegłam, że jestem nadal w tym wstrętnym pasia-ku... Zatręskniłam za sukienką, choćby tą najgorszą, pocerowaną na lokciach, którą się wkładało do sprzątan... Zawstydziałam się, uważałam tę myśl za zdradę... Przecież nie po to ocalałam — karciałam się z namiętną surowością.

„Ale nawet pęk kieliszków zlepionych od pożaru, jakby zaszłych siwym dymem, przypominał mi bukiet, nawet ślad czołgów odcisnięty w asfalcie rozmiękłym wówczas, gdy płonęła cała dzielnica, kojarzył mi się z kratką na waflach, z lodami kupowanymi na rogu, dawno, gdy byłam jeszcze taka mała... Wszystko, czego dotknęłam, mówiło mi o życiu...”

Kiedy tak stała na owym narożniku, podobnym do wzgórza spękanej cegły,

postanowiła pozostać, podejmowała decyzję walki w imieniu tysięcy towarzyszek, które rozwiały się w dymach. I życie zwyciężyło.

Po siedmiu latach zbierają się w Oświęcimiu dawni bojownicy o wolność, członkowie Ruchu Oporu, byli więźniowie obozów faszystowskich. Ściągają delegacje. Trzeba się znowu policzyć. Witają się mocnym uściskiem, wiedzą, że braknie tylko tych, którzy w ostatnim roku zmarli.

Zebrali się w pamiętną rocznicę, żeby dać świadectwo prawdzie. Żeby ustalić wspólny plan walki z siewcami zagłady.

Pokazują dowody jawnej zdrady — oto amerykańska gazeta drukowana po niemiecku. a na jej kartach twarze hitlerowskich generałów, te pyski drapieżników, lub sępie profile. Nazwiska znane wszystkim, bo widniały pod listą rozstrzelanych, naklejoną na murach Kijowa i Paryża, Warszawy i Mediolanu. Oni decydowali o likwidacji tysięcy, o spalaniu miast, o planowej zagładzie... Otwarto im bramy więzienia, winy znowu się stały zasługami. Są

przydatni, poszukiwani, właśnie do wykonywania swego zawodu.

Sprzedajna prasa, tam na Zachodzie, zachwala zaciąg do nowego Wehrmachtu.

Tu już nie może być mowy o rozbieżnościach politycznych, o trudnościach porozumienia... Wrogowie ludzkości działają zbyt jawnie.

Siedem lat temu Armia Czerwona w zwycięskim marszu wylała bramy Oświęcimia. Wyzwoleni pamiętają, kto ich obdarował wolnością, kto się z nimi podzielił pokojem, jak chlebem. Przyjaźni, którą wówczas poprzysięgli, dochowują wiernie. A więc walczą o pokój, jak przystało na wypróbowanych towarzyszy broni.

Wydzierają im z kłap marynarki bliski każdemu sercu znak gołębia, zastępują drogę do trybuny, gdy protestują przeciw kłamliwym mówcom. Biją ich pałkami znowu te same sprawne łapy policjantów faszystowskich, zamykają ich po więzieniach, oskarżają fałszywie... Próbuje na przemian to przekupić, to zastraszyć...

Nie dali się ugiąć. Znowu są razem całą gromadą, jak owego dnia, od którego zaczęła się dla nich wolność. Stoją obok siebie w szeregu, przedstawiciele prześladowanych z całej Europy. Przemawiają głosami pełnymi gniewu, piętnują wrogów pokoju. Mówią o życiu, którego bronią, o miastach odbudowanych, o dzieciach, o międzynarodowej przyjaźni.

Nie zebrali się jednak tutaj dla wspomnień, choć każdy kąt mówi o złowrogiej przeszłości, stawili się w rocznicę oswobodzenia, jak do apelu, by mówić o nowym życiu, o szczęściu człowieka, o pokoju.

Przybyli do Polski, by ostrzec świat przed losem, jaki im gotowali hitlerowscy oprawcy. Mówią za miliony poległych, za miliony pomordowanych. Dobrze pamiętają, jak ich wróg osaczał, dali się wówczas zaskoczyć, wyłapano ich po jednym...

Drugi raz się taka sztuczka nie uda. Żadne frazesy układnych polityków nie uspią ich czujności. Wiedzą dziś, że rękę podpalacza należy twardo uchwycić, wywlec złoczyńcę z ukrycia, postawić przed narodem. Płomień musi być zdeptany.

Dziś wiedzą, że na siłę trzeba odpowiedzieć siłą, a tę daje tylko jedność w działaniu miliarda ludzi, którzy bronią pokoju.

Oblakane rojenia Trumana o panowaniu nad światem kryją w sobie groźbę zagłady i niewolnictwa dla milionów. Dlatego głos byłych więźniów tnie jak biczem — znamy, znamy naszą drogę, prowadzi prosto między druty kolczaste obozów!

Dlatego głos bojowników o wolność brzmi szorstką zachętą — pamiętaj o naszym losie, bądź czujny, strzeż pokoju! Walcz o przyszłość swoją, narodu, ludzkości!



Serdeczne stosunki łączyły szefa bandytów z wywiadem amerykańskim. W 1948 r. odwiedził „króla Montelepre” kapitan wywiadu amerykańskiego, Stern. Na zdjęciu widzimy go w przyjacielskiej rozmowie z Giuliano i jego ojcem.

RZĄD ROZBÓJNIKÓW

CZYLI

SCELBA I GIULIANO

RENE ANDRE

„GOVERNO LADRO” — rządem złodziei nazywali dotychczas Włosi „wstawiony” licznymi aferami korupcyjnymi rząd de Gasperiego. Zakończony przed kilku dniami proces w Viterbo, w czasie którego ujawnione zostały powiązania chadeckiego rządu z bandą Giuliano, zmienił opinię społeczeństwa. Obecnie panów z Viminale ulica rzymska określiła dosadniej — *governo dei briganti* — rząd rozbójników.

Cała historia zaczęła się jeszcze w roku 1947, a właściwie jeszcze wcześniej. Ale zacznijmy od początku.

49 STAN USA

10 lipca 1943 roku wojska amerykańskie wylądowały na Sycylii. Stany Zjednoczone, które przysłały stąd najszlachetniejszych gangsterów — od Al Capone po Franka Costello, Tony Accardo i braci Fischetti — nie odmówiły swojej opieki brygantom z bandy Giuliano, „króla Montelepre”.

Talenty młodego Salvatore Giuliano były nad wyraz przydatne Amerykanom. Po obaleniu faszystowskiego reżymu Mussoliniego, robotnicy i chłopcy sycylijscy coraz donośniej domagali się radykalnych przemian społecznych i gospodarczych. Mówiło się o zniesieniu monarchii, ukaraniu zbrodniarzy wojennych i reformie rolnej. Ruch rewolucyjny przybierał na sile z dnia na

dzień. Oczywiście ani sycylijscy feudałowie, ani sztab amerykański, który już wówczas wyznaczył Sycylii rolę jednej z głównych baz przyszłej agresji — nie mieli zamiaru rezygnować ze swoich celów. Toteż w pochmurny dzień listopada 1943 r. w Montelepre zjawił się wysłannik amerykańskiego wywiadu, płk. Charles Poletti. Rozmowa z młodym Salvatore była krótka, ale przyniosła natychmiastowe rezultaty: w ciągu następnych tygodni do Montelepre nadszedł transport automatycznej broni amerykańskiej najnowszej konstrukcji oraz większa suma okupacyjnych lirów.

Płk. Poletti niejednokrotnie jeszcze odwiedzał swego przyjaciela. Gdy wzrost sił lewicy na Sycylii zaczął poważnie niepokoić panów z Waszyngtonu, Giuliano zwrócił się do prezydenta Trumana z propozycją... przyłączenia Sycylii do USA w charakterze 49 stanu. List wodza bandytów ułożył „grzecznościowo” płk. Poletti. W Waszyngtonie mówiło się wówczas, że na wypadek zwycięstwa sił lewicy Truman gotów był spełnić prośbę „króla z Montelepre”.

Zresztą nie tylko płk. Poletti odwiedzał Giuliana. Bywali u niego i inni dygnitarze amerykańscy. Kilka dni spędził z nim w górskiej kryjówce bandy, amerykański dziennikarz Michael Stern, kapitan amerykańskiego

wywiadu. Za ich pośrednictwem wszedł Giuliano w kontakt z przywódcami chadecji — premierem de Gasperi, ministrem spraw wewnętrznych i szefem policji, Scelbą, deputowanymi — Mattarella, Marchesano, Alliata, Cusumano.

PORTELLA DELLA GINESTRA

Piękny był poranek 1 maja 1947 r., jednego z ostatnich dni słynnej „primavera siciliana”. Mała osada sycylijska, Portella della Ginestra, skąpana była w słońcu. Przez święte ulice ciągnął pochód robotników rolnych z żonami i dziećmi. Na czele pochodu wysoko wznosił się czerwony sztandar. Robotnicy Sycylii ze szczególną radością obchodzili swoje święto: przecież przed kilku zaledwie tygodniami blok lewicy odniósł wielkie zwycięstwo w wyborach samorządowych.

Nagle radosny śmiech dzieci przerwały salwy z pistoletów maszynowych. Okrzyki strachu i jęki rannych i umierających mieszały się z hukami strzałów. Czerwone sztandary spływały krwią. 14 zabitych i kilkudziesięciu ciężko rannych — oto rezultat masakry w Portella della Ginestra.

Po kilku dniach cała prasa знаła już sprawców zbrodni: mordercami byli bandyci Salvatore Giuliano. Ale dopiero po 4 latach dowiedziano się,

że plan skrytobójczego napadu opracowany został nie w grotach Montelepre, lecz w luksusowych pałacach sycylijskich feudałów w Palermo. Ułożyli go trzech deputowanych chadecji — książę Gianfranco Alliata di Montereale, Tommaso Leone Marchesano i Geloso Cusumano, deputowany monarchistyczny Montalbano, wiceminister komunikacji Mattarella i... ex-minister faszystowski Giuseppe Bottai, obecnie jeden z filarów legalnie ukazującego się, faszystowskiego „Popolo di Roma”. Chodziło o złamanie rewolucyjnych sił na Sycylii.

A nazajutrz po masakrze, min. Scelba oświadczył oficjalnie, że „zbrodnia w Portella della Ginestra nie ma charakteru politycznego”...

MORDERSTWO NA ZAMÓWIENIE POLICJI

Po zbrodni w Portella della Ginestra Scelba ogłosił „wyprawę krzyżową” przeciw bandytom. Jedną ekspedycję policji następowała po drugiej. Do akcji wciągnięto nawet okręt wojenny. Ale mimo iż dziesiątki karabinierów ginęło w walce z bandytami — Giuliano pozostawał nieuchwytny. Włoscy i amerykańscy dziennikarze z nadzwyczajną łatwością odnajdywali drogę do Montelepre... tylko Scelba i jego podwładni nie wiedzieli, gdzie przebywa Giuliano.



„Król Montelepre”, Salvatore Giuliano u szczytu potęgi w roku 1948.



Zastępca Giuliano, Pisciotto, przybierał wobec dziennikarzy pozę bohatera.



Zaufany księcia di Montereale i przyjaciel insp. Verdiani, bandyta Miceli.



Szef włoskiej policji a jednocześnie opiekun bandytów, minister M. Scelba.



Szef bandy, Salvatore Giuliano zwykle lubił występować w roli „biednego obrońcy uciśnionych”. Oto poza jaką przyjmował gdy odwiedzali go i fotografowali amerykańscy dziennikarze w jego „stolicy”, w kryjówce na Montelepre.



Kapitan karabinierów Perenze, oficjalny zabójca Giuliano, który za swój „bohaterski „czyn” otrzymał w nagrodę 25 milionów lirów. W ten sposób Scelba usiłował ukryć przed opinią publiczną swoją współpracę z bandytami.

5 lipca 1950 r. rozeszła się niespodziewanie wiadomość o śmierci „króla Montelepre”. W kilka godzin później Scelba zakomunikował dziennikarzom, iż Giuliano zabity został przez kapitana karabinierów Perenze. Wkrótce potem opublikowano wiadomość, iż Perenze otrzymał 25 milionów lirów nagrody, a szef poliej sycylijskiej, płk. Luca awansował na generała.

Ale śmierć Giuliano nie zakończyła ponurego dramatu Portella della Ginestra. W połowie ub. r. wznowiono w Viterbo proces 36 członków bandy Giuliano. Półtora roku potrzebował sąd, aby ukryć winę tego, który właściwie powinien był stanąć przed sądem jako główny oskarżony: ministra spraw wewnętrznych, Mario Scelby.

Od pierwszego dnia proces bandy zamienił się w proces włoskiej chadecji. Jak się okazało, Giuliana zastrzelił na rozkaz policji jego zastępca, Gaspare Pisciotta. Chodziło o to, że Giuliano stał się niewygodny dla Scelby i jego mocodawców, ponieważ wiedział zbyt wiele o kontaktach włoskich i amerykańskich działaczy rządowych z bandytami sycylijskimi. Po zastrzeleniu Giuliana zwłoki jego wyniesiono przed dom, gdzie karabinierzy oddali kilka salw w powietrze, po czym pozwolili się sfotografować na tle zwłok bandyty, w pozie dzielnego obrońcy prawa. Pisciotta zeznał, iż w osobistych

spotkaniach z płk. Luca i insp. Verdiani uzgodniono, iż za zamordowanie Giuliano, Pisciotta otrzyma 50 milionów lirów i paszport zagraniczny. Umowa spisana została najzupełniej formalnie i zaopatrzona podpisem min. Scelby. Bandyta ściśle wykonał umowę, a gdy wodzowie chadecji zdradzili go — począł „sypać”.

Gdy pierwsze rewelacje dotarły do wiadomości publicznej, Pisciotte odwiedził w więzieniu specjalny wysłannik Scelby, adw. Bucciante w towarzystwie gen. Luca, aby ponownie ofiarować mu miliony za milczenie i zapewnić go, iż włos mu z głowy nie spadnie. Ale bandyta Pisciotta przestał wierzyć zapewnieniom bandyty Scelby. Teraz już każdy dzień procesu przynosił nowe sensacje. Oto kilka z nich!

WINOWAJCY — NA WOLNOŚCI

W Castelvetrani, przy via Francesco Crispi mieszka „il Americano” Colantonio Piccione, tajemniczy łącznik sycylijskiej mafii z jej amerykańskim oddziałem, na którego czele stoją słynni gangsterzy — Costello, Accardo, Fischetti i Adonis. Chrześniak Piccione, Giuseppe Marotta pełnił funkcje adiutanta Salvatore Giuliano. Za pośrednictwem Marotta zwierzbowany został adwokat Gregorio De Maria, w którego domu, przy via Fra Serafine Mannone, odbywały

się spotkania płk. Luca z Giuliano i Pisciotta. Spotkania te były dość częste. We wspólnych kolacyjkach z bandytami brali również udział inspektorzy policji, Verdiani i Messana, wspólnik jednego z szefów bandy — Salvatore Ferreri o romantycznym przydomku „Fra Diavolo”. W domu insp. Verdiani w Rzymie częstymi gośćmi bywali bandyci, Mino Micelli i Domenico Albano, a Pisciotta „ukrywał się” po zabójstwie Giuliano w mieszkaniu kpt. Perenze.

Wielokrotnie cytowany w czasie procesu De Maria, „avvocatichio” — pośrednik, był stałym łącznikiem między Giuliano a Scelbą i de Gasperim.

Nic dziwnego, iż Ignazio Micella mógł oświadczyć przed sądem, że „Giuliano nie był nigdy bandytą, lecz komendantem oddziału policji”. A Gaspare Pisciotta oburzył się, gdy usłyszał, iż w akcie oskarżenia figuruje jako bandyta, twierdząc, iż był jedynie „współpracownikiem sprawiedliwości”. Przecież posiadał oficjalne pozwolenie na broń, podpisane przez płk. Luca i opatrzoną podpisem Scelby przepustką, zapewniającą mu nieetykalność...

Wśród świadków w Viterbo wystąpiło przed trybunałem siedmiu wysokich dygnitarzy policji: szef policji sycylijskiej, gen. Ugo Luca, jego zastępca — Coglitore, kpt. Perenze, insp. Ettore Messana i Ciro Verdiani oraz kwestorzy Marzano i Giammarcaro. Siedem różnych wersji, siedem wzajemnych oskarżeń, czyli siedem fałszywych ze-

znań złożyło się na jedną prawdę: rząd włoski nie tylko nie walczył z bandytami, ale między szefami chrześcijańskiej demokracji a Montelepre istniała jak najściślejsza współpraca. Co więcej — zawierane były na piśmie dokładne umowy. Ministrowie i generałowie policji, inspektorzy bezpieczeństwa i deputowani, potężni feudałowie i bandyci, przedstawiciele amerykańskiego wywiadu i amerykańskiego świata przestępczego — tworzyli wspólnie potężną mafię, której celem była walka z ruchem postępowym.

Na zakończenie jeszcze jedna sensacja: najkrwawszy członek bandy Giuliano, ci, którzy mają na sumieniu najwięcej przelanej krwi, nadal pozostają „nieuchwytni”. Część z nich odbywa „wierną służbę” w szeregach francuskiej Legii Cudzoziemskiej w Vietnamie, inni — jak Pietro Licari czy Pasquale Sciortino — dzielnie kontynuują swą bandycką karierę w szeregach gangsterskiego „koncernu” Franka Costello.

* * *

Proces w Viterbo został zakończony. Członkowie bandy Giuliano skazani zostali na krótsze lub dłuższe kary więzienia. Ale główni winowajcy pozostają na wolności.

RENE ANDRE



Przyjaciel „króla Montelepre”, szef policji sycylijskiej, gen. Ugo Luca.



Łącznik między Giuliano a Waszyngtonem, płk. wywiadu USA, Poletti.



Koniec bandyty, który za dużo wiedział. Po zabójstwie Giuliano zwłoki

jego wyniesione zostały przed dom, gdzie go „zastrzelili” karabinierzy.

SKARBY TATRZAŃSKICH

A. LIBERAK — ZDJĘCIA ST. ZWOLIŃSKI

JASKIŃ

JASKINIE tatrzańskie owiane legendą zbójnickiego złota i grozą tajemniczości, jaskinie, po których jeszcze do niedawna krążyli maniacy szukając ukrytych skarbów, pokazują powoli swe prawdziwe skarby. Nie te legendarne, zakopane kiedyś przez zbójników „kotlicki z dukatami“, ale bogactwa, którymi cieszy się naukowiec, znajdujący w jaskiniach ślady dawnego życia i historii naszej ziemi oraz turysta - grotolaz zachwycony nieznanym dotychczas pięknem podziemnego świata Tatr.

Do drugiej wojny światowej badania jaskiń tatrzańskich były prowadzone sporadycznie przez kilku zapaleńców, którzy nie dysponowali odpowiednią sumą pieniędzy, by prowadzić stałe, systematyczne prace naukowe. Polska Ludowa znalazła na ten cel pieniądze. Prowadzone od 1948 r. prace odkrywcze w grotach tatrzańskich mają dwa cele: pierwszy to badania naukowe, a drugi to przygotowanie i udostępnienie najpiękniejszych grot szerokim rzeszom turystów.

Grotę powiedziały niejedno o rozwoju Tatr, a żmudne badania flory i fauny jaskiń tatrzańskich dają coraz więcej wiadomości o przystosowaniu się pewnych organizmów do życia w tym dziwnym, odrębnym zupełnie świecie. Dzięki jaskiniom dowiedziano się, jakie zwierzęta zamieszkiwały Tatry w poprzednich epokach. Ślady znalezione w jaskiniach tatrzańskich każą przypuszczać, że zamieszkiwali je kiedyś nasi pra-pra-ojcowie. Na to jednak nie ma jeszcze wystarczających dowodów.

Do niedawna przypuszczano, że po polskiej stronie Tatr nie ma większych jaskiń. Tymczasem powojenne badania wykazały, że niektóre z naszych jaskiń to wcale nie ułamki. Jak stwierdzono dotychczas, 5 z nich (grota w Magórze, Kasprowa Niżna, Zimna, Miętusia i odkryta jesienią ubiegłego roku Szczelina w dolinie Chochołowskiej) mają korytarze długości ponad 1 km.

Wiele z naszych grot musi być dokładnie zbadanych i w związku z tym nie podaje się jeszcze ich położenia do publicznej wiadomości. Jak bowiem wykazały smutne doświadczenia z grotą w Magórze, turyści rujnują po prostu grotę, niszcząc nie tylko piękne nacieki lodowe, ale wszystko co się da zniszczyć. Jaskinia, zniszczona przez takich dzikich turystów, nie przedstawia już żadnej wartości dla badań naukowych.

Równolegle z pracami naukowymi, prowadzi się w Tatrach pracę nad udostępnieniem niektórych pięknych grot dla masowego ruchu turystycznego. Turyści zwiedzają już grotę Mylną a prace zachowawcze podjęto przy jednej z najpiękniejszych jaskiń — Mroźnej. Jaskinia ta już w tym roku będzie dostępna dla turystów. Za tymi dwiema grotami pójdą dalsze, ale ci turyści, których interesuje naprawdę podziemny świat Tatr i którzy chcą poznać jego piękno niech nawiążą, będąc w Zakopanem na wczasach, kontakt z sekcją grotolazów PTTK.

◀ WEJŚCIE DO GROTY ZIMNEJ.



TAJEMNICZOŚĆ I PIĘKNO GROT TATRZAŃSKICH ZNACZNIE POTĘGUJĄ WĄSKIE KORYTARZE, DZIELĄCE SALE PODZIEMNE.



Kopalnia węgla? Chodnik, z którego górnicy wybierają węgiel? Nie. To jaskinia Mroźna, w której robotnicy przebijają w skałach drugie wyjście.



Wyprawa do najpiękniejszej jaskini w Tatrach — jaskini Miętusia — nie należy do łatwych. Podziemne jeziora trzeba przepływać na specjalnych pływakach.

Pożegnanie z

FERNANDEM GARIMAUX

OPOWIADANIE

(5)

— Więc jak, towarzysze? — skończył, podchodząc do Feliksa i Duvin'a.

— Oczu nie zamknijemy — warknął Duvin. — Będziemy wartować...

— I jeszcze jedno — wtrącił Boyer. — Prowokacja...

— Najlepszych, najpoważniejszych ludzi rzuciliśmy do Periquet'a — objaśnił Feliks. — Poleciliśmy: otworzyć ślepią i krzyżować ewentualne ataki wroga. Nie dać się sprowokować.

— Spoważnieliście, towarzyszu Feliks, od 43 roku — rzekł z uśmiechem Lagage podając Feliksowi rękę.

— Wszyscy po trochu spoważnieli. Ale pośmiać się w stosownej chwili także potrafimy — odparł Feliks.

Zbiegli po schodach. Duvin usadowił się na tylnym siedzeniu, a Feliks przy kierownicy.

— Robi się dzień — mruknął Feliks, gdy mijali patrol policji na motocyklach.

— Zimno sakramenckie — rzekł w odpowiedzi Duvin. — Skostniałem cały.

Samochód, którym jechali, szyby miał wybite i wewnątrz wozu wiał istny huragan, gdy strzałka szybko mierza miała liczbę sześćdziesiąt.

6.

Danielle dała dzieciom śniadanie o ósmej rano. Nim skończyły jeść, wybiegła na chwilę, polecając Kamilowi, by uważał na Lolę. Od chwili wyjścia Fernanda, Danielle nie zmrugała oka. Nachodziły ją jedna za drugą złe myśli, nie mogła się od nich uwolnić na moment. Jak błogosławieństwo powitała chwilę, w której Lola obudziła się i zaczęła pokrzykiwać. Narzuciła szlafrok i ubrała małą. Dzień wstawał chmurny, prawdziwie jesienny. Gołębie leciały wielką chmurą, zaglądając w okno. Lola je spostrzegła. Nie zdążyła zawołać, a już przeleciały.

— Mamo, daj ptaskę — prosiła matkę, sepieniąc po dziecinnemu.

Na to obudził się Kamil. Zaczął udawać ćwierkanie wróbla. Lola wybuchnęła śmiechem. Nie dała Danielle zawiązać sobie kokardy we włosach, podbiegła do brata.

— Jesteś ptasek? — przymilała się. — Tu mas dzióbek? A tu sksydełka? — pytała wskazując usta i ręce chłopca.

Danielle ubrała się, narzuciła na ramiona palto i wyszła na ulicę. Gdy minęła przecznicę, podbiegła do niej Teresa Lucquin, jej przyjaciółka.

— Zostałyśmy bez chłopów, co? Twojego też wzięli? — zaczęła paplać z ożywieniem, rzucając dookoła wesołe spojrzenia. — Wiesz, chciałam z nim pójść, ale mi nie pozwolili.

Danielle mrugała oczami, ogłuszona wymową przyjaciółki. Wreszcie, korzystając z tego, że tamta, zadyszana, zrobiła chwilę przerwy, rzekła:

— Nawet nie wiem, czy przyjdzie na obiad...

— Zwariowałaś? Na pewno nie przyjdzie. Nie bój się. Już ich tam potrzymają. Może nawet na noc nie wrócą? Mój powiedział na odchodnym: „nic się nie martw. Najwyżej odpocznę od ciebie”. Słyszałaś coś podobnego? Pożegnanie kochającego męża... Nie ma co... Taki jest ten mój Lucquin...

— To nie będę robiła obiadu — rzekła spokojnie Danielle.

— Widzę, moja kochana, że jakbyś się urwała od pary z moim mężem.

Danielle ruszyła w kierunku fabryki, za nią zaś Teresa, której usta się nie zamykały. Po drodze pytały znajomych, gdzie znajdują się mężczyźni, którzy nocą opuścili swe mieszkania. Odpowiedzi były różne. Mówiono, że poszli do Domu Związkowego, do merostwa — w istocie nie wiadano lub nie chciano powiedzieć,

Obydwie młode kobiety myślały o Zakładach Periquet, żadna jednak wprost nie spytała o nie. Skoro fabryki nikt nie wymieniał, nie należało pytać. Przecież fabryka pierwsza przychodziła na myśl...

W pobliżu Zakładów natknęły się na kordon policji. Niezbyt energicznie próbowały iść dalej. Policjant ze szramą na policzku, zastąpił im drogę.

— Dokąd? Nie widzicie, że nie wolno? Już was nie ma — rzekł ostro.

Zawróciły. Powracały powoli. W pewnej chwili Danielle przystanęła.

— Chodźmy do Domu Związkowego — zaproponowała.

— Po co?

— Żeby się dowiedzieć...

— Śmieszna jesteś. Będziemy im tam głowy zawracać. Skoro ich wzywali, to znaczy, że tak trzeba. Żeby nie dzieciaki, poszłabym do Związku, a jakże... Ale poszłabym nie dla zasięgnięcia informacji... poszłabym pracować...

Wyglądająca prawie jak dziecko Teresa miała dwoje małych dzieci.

— Chyba mam prawo wiedzieć, gdzie się znajduje mój mąż — rzekła Danielle.

— Prawa wszyscy mamy... Nie wszystkie prawa są prawami...

Danielle umilkła.

„Ona zawsze mnie przegada” — pomyślała — „a zresztą Teresa ma rację. Trzeba robić, co do mnie należy i nie szukać niewiadomo czego...”

Ulica wyglądała, jak gdyby zamieszkiwały ją same kobiety. Stały w oknach i bramach, tworzyły grupy na chodnikach. Ich mężowie pracowali u Periquet'a. Była to dzielnica robotników Periquet'a.

— Zajdziesz do mnie? — pytała Danielle, gdy stanęły przed domem, w którym mieszkała.

— Ale tylko na chwilę. Zobacze twoje dzieciaki.

Kamil i Lola siedzieli na podłodze. Starą gazetę zwijali w rolkę i trąbili. Teresa usiadła obok nich. Pokazała im spokojniejszą zabawę. Danielle nalala dwie szklanki czarnej kawy.

— Napij się ze mna. Jeszcze dziś nic nie jadłam — rzekła.

Usiadły przy oknie. Kawa była chłodna. Danielle gryzła suchą bułkę. Obydwie milczały, obserwując dzieci zajęte robieniem z gazety samolotu.

— Czasami żałuję, że wyszłam za mąż — mruknęła nagle Danielle, miedzy jednym łykiem kawy a drugim.

— Co ci też do głowy przyszło, popatrzcie no... — zdziwiła się szczerze Teresa.

— Ano tak — Danielle kiwała rytmicznie głową. — To prawda. Pracę miałam ciężką. Wracalam o dwunastej i później do domu. Wstawałam o szóstej. Ale taki dzień, jak dziś, nie mógł się zdarzyć. Nie lubię czegoś nie wiedzieć, czekać niewiadomo na co. Robię coś — wiem. Idę do kina, wracam. Dobrze, jestem mężatką. Mąż zawieruszy się gdzieś. Nie po raz pierwszy i drugi. Ale masz: przychodzą po niego w nocy, zabierają, nie mówią dokąd... Tajemnica przed żoną... To nie dla mnie taka zabawa...

— Mówisz jak dziecko. A chciała-bys, żeby Fernand, gdy wszyscy poszli, został w domu? Sama powiedz: chciała-bys?

— Chciałabym, oczywiście. Co mi z tego, że jest ze wszystkimi, skoro nie wiem, gdzie jest i co robi?

— Mówisz żeby mówić. Przecież i tak, gdy go nie ma w domu, nie wiesz, co robi...

— Ale mogę sobie wyobrazić. Jest przy pracy. Albo gra w piłkę na boisku. Zresztą, jeżeli nawet nie wiem, Fernand szybko wraca i mówi mi. A teraz... Ty jesteś spokojna... dobrze... ale nic nie wiadomo...

Teresa zniżyła głos.

— Co ty opowiadasz? Jak można tak mówić przy dzieciach! Jak możesz tak myśleć?! Przecie nie on jeden... Otrząśnij się. Wszystko pójdzie dobrze. Nie wiedziałam, że jesteś taka... taka... no... nieopanowana. Przed chwilą byłaś przesadnie spokojna, nawet obojętna, co miałam ci nawet za złe, a teraz histeryzujesz...

— A co? A potem, jak tyle innych? One do pracy nie pójdą. Kto weźmie kobietę z dziećmi, jeżeli tyle młodych, każdego najgorzej płatnego zajęcia się chwytą? Co ja zresztą umiem? Zmywać naczynia? Sprzątać? Spytały raczej, kto tego nie potrafi...

— Dlaczego myślisz, o tym najgorzej, Danielle...

— Mówię o nich — wskazała dzieci. — Więc myślę o wszystkim. Ilu policjów zatłukła w 47? A ilu teraz zatłucze? Co będzie z Kamilem i z Lolą?

— Danielle, kochana — Teresa objęła wpół Danielle — uspokój się. O czym ty mówisz? Żonie robotnika nie wolno tak mówić...

— Lepiej było zostać nie wiem czym, niż żoną robotnika.

— No już. Skończ tak mówić. Nie jesteś sama. Nie jesteśmy same. Jest nas wiele. Fernand ma kolegów, przyjaciół, towarzyszy... Oni wiedzą, co mają robić, ale i my musimy wiedzieć...

Teresa była zaniepokojona. Po raz pierwszy widziała Danielle w takim stanie.

Danielle podeszła do kranu, napełniła szklankę wodą i wypita parę łyków.

— Przepraszam cię, Tereso — szepnęła — jestem w czwartym miesiącu ciąży... To dlatego... Ja wcale tak nie myślę...

Oczy Teresy rozjaśniły się.

— Znów? To się śpieszycie — momentalnie wpadła w wesoły nastrój — jak tak dalej pójdzie, w krótkim czasie ludność Paryża przekroczy 5 milionów...

Teresa ucałowała Danielle w oba policzki. Danielle uśmiechnęła się.

— Nie wiem, co mnie napadło — powiedziała — dziękuję ci, że trochę na mnie nakrzyczałaś.

— Idę już — Teresa podeszła do drzwi — może ci czego trzeba?

— Nie, dziękuję. Po południu zajdę do ciebie. Może do tej pory już Fernand i twój mąż wrócą?...

Teresa nacisnęła klamkę, lecz drzwi, nim je popchnęła, ustąpiły... Stali w nich dwaj policjanci. Teresa mimo woli cofnęła się.

— Czy tu mieszka Fernand Garimauz?

Teresa skinęła głową.

Policjant rozejrzył się po pokoju.

— Proszę go wezwać.

— Łatwo wam powiedzieć — rzekła Teresa — wyszedł, przecież widzicie, że go nie ma.

— Dla pani lepiej, żeby był...

— Lepiej? To się okaże.

— Więc nie ma Fernanda Garimauz?

— Nie ma.

— Pani jest żoną? Pani nazywa się Danielle Garimauz. Pani pójdzie z nami.

Teresa wzięła się pod boki.

— Danielle Garimauz pójdzie z wami? O, jacy mądrzy. Wszystkie rozumy pozjadali. A mandat na zatrzymanie jest?

— No, no — powiedział, starszy wiekiem policjant — bez fanaberii, nas ustawy pani nie będzie uczyć. Odprowadzić na komisariat na przesłuchanie wolno każdemu policjantowi na służbie.

— Czyście powariowali? Kobieta w czwartym miesiącu chcecie odciągnąć od dzieci dla jakichś głupstw?

— Powoli, paniusiu, powoli, bo jeszcze odpowiesz za obrazę władzy. A tej ciąży to po pani nie widać.

— To ja jestem Danielle Garimauz — odezwała się Danielle.

— Doskonale — powiedział młodszy policjant, zwracając się do niej — pani z pewnością jest lepiej wychowana i będziemy mieli mniej kłopotu. A po pani także nie znać tej ciąży...

— Czy można wiedzieć kiedy wróć? Zostawiam dzieci...

— Zaraz pani wróci. Nikogo pani nie zabiła, nie ukradła pani, zaraz pani wróci...

— Weź dzieci do siebie... Masz klucz — powiedziała Danielle do Teresy i pożegnała się z nią. Ucałowała Kamila i Lolę.

— Grzecznie się bawcie, mamusia zaraz wróci — rzekła.

Teresa patrzyła na nią długo, onie miała, Kamil próbował pytać „czego chcą od mamusi” uspokoił się jednak, gdy mu powiedziała, że to nic ważnego.

Przed komisariatem stał długi błyszczący Chrysler. Do niego wpełchnięto Danielle. Chrysler pomknął w kierunku śródmieścia...

7.

Gdy znajdowaliśmy się obok komisarza Lazard, nic jeszcze nie wiedzieliśmy o aresztowaniu Danielle, jak również nie znaleźmy przebiegu zdarzeń, które miały miejsce w fabryce.

Ciąg dalszy nastąpi



NA EKRANACH - „ZAŁOGA”

NA EKRANY polskie wchodzi w dniu 27 stycznia nowy, długometrażowy, fabularny film polski pt. „Załoga”.

Autorem scenariusza jest Jan Rojewski. Reżyseria spoczywała w ręku Jana Fethkego i Br. Broka.

Akcja filmu rozgrywa się częściowo w Państwowej Szkole Morskiej, a częściowo na pokładzie okrętu szkolnego „Dar Pomorza”.

Film przedstawia życie młodzieży kształcącej się na marynarzy. Drugi to w naszej produkcji film o kształceniu młodych kadr: „Pierwszy start” ukazywał życie przyszłych młodych lotników, „Załoga” zapoznaje z życiem przyszłych marynarzy Polski Ludowej.

Scenariusz filmu wywołał przed paroma miesiącami żywą dyskusję, podsumowaną na łamach „Sztandaru Młodych”, dyskusję, w której wzięli udział zarówno ludzie filmu, jak ludzie morza. Wyowiedź ministra Włodzimierza Sokorskiego była

podsumowaniem wniosków i wytyczała niejako zmiany, które wprowadzono w scenariuszu.

Zdjęć do filmu dokonano w Gdyni, a następnie na pokładzie malowniczego „Dar Pomorza”, przy czym w zdjęciach brali udział nie tylko aktorzy zawodowi z Władysławem Walterem (w roli bosmana) na czele, nie tylko uczniowie szkoły morskiej, ale i cała załoga „Dar Pomorza”. Tematyka morska filmu pomogła niewątpliwie realizatorom do wydobycia scen pełnych piękna, światła i poezji, ale realizatorzy nie zapomnieli o najważniejszym, wychowawczym celu tego filmu. Mimo więc lekkiego, raczej w żartobliwym tonie utrzymanego dialogu, uwydatnione są poważne zagadnienia kolektywu młodzieżowego.

Autorzy filmu postawili sobie ambitny plan pokazania pracy nad przyszłymi marynarzami i zaznajomienia widza z socjalistyczną metodą wychowania młodzieży. (Beyl.)



Chłopcy postanowili na przywitanie okrętu szkolnego „Dar Pomorza” zbudować model fregaty i ofiarować ukochanemu przez uczniów kapitanowi Michalskiemu. Oto chwila, gdy fregata jest już gotowa.



Ostateczne egzaminy mają się ku końcowi. Uczniowie piszą zadania klasowe pod okiem kap. Kapery. Od wyniku egzaminów zależy, czy wyjdą w morze na pokładzie „Dar Pomorza”, czy zostaną na lądzie.



Bosman okrętu szkolnego „Dar Pomorza”, stary, doświadczony marynarz, jest kochany przez chłopców. I on również, jak tylko może, pomaga młodym marynarzom w ich nietatwej i odpowiedzialnej pracy.



Przed wyruszeniem na morze na pokładzie okrętu szkolnego „Dar Pomorza” odbywa się wesoła i huczna zabawa uczniów, w której biorą udział i rodziny przyszłych dzielnych marynarzy polskiej floty.



Okręt szkolny jest na pełnym morzu. Chłopcy układają własną gazetkę, gdy przez radio nadchodzi wiadomość o wypadkach, jakie rozegrały się w porcie nowojorskim na pokładzie M. S. „Batory”.



Kurs „Dar Pomorza” zmieniono na wieść o wypadkach, jakie miały miejsce na „Batory”. „Dar Pomorza” popłynął, wioząc na swym pokładzie młodych marynarzy, by wyrazić uznanie załozdze „Batorego”.



Znana i w Polsce postępową publicystkę francuską, D. Desanti ogląda program Festiwalu Polskich Filmów w towarzystwie jednego z organizatorów seansów kinowych w „Studio 43” na Montmartre.



OLBRYMIE zainteresowanie obudziły w Paryżu pokazy polskich filmów zorganizowane w listopadzie, grudniu i styczniu przez Towarzystwo Przyjaźni Francusko-Polskiej. Na porankach niedzielnych w „Studio 43” na Montmartre gromadziły się tłumy publiczności, gorąco przyjmującej filmy. Wyświetlano filmy długometrażowe: „Ostatni etap”, „Czarny Zeb”, „Ulica Graniczna”, „Zakazane piosenki”, „Stalowe serca”, „Dwie brygady”, „Pierwszy start”, „Za nami pójdą inni”, „Warszawska premiera” i „Dom na pustkowiu”.

Równie wielkie zainteresowanie, co filmy długometrażowe, obudziły polskie krótkometrażówki, opowiadające o życiu mas pracujących miast i wsi Polski Ludowej.

Wyświetlano więc z filmów dokumentalnych średnio i krótkometrażówki: „Szeroka droga”, „Smok podwawelski”, „Oberek”, „Mazurki Szopena”, „Biskupin”, „Młodzież wiejska”, „List górnik”, „Kopalnie soli w Wieliczce”, „Wielki redyk”, „Budujemy”, „Proces norymberski”, „Ptasia wyspa”, „Aktualności Polski Ludowej” i wiele innych.

Wybitni filmowcy i publicyści postępowej Francji jak Georges Sadoul, Jean Thevenot, Janine Buissonneuse, Kamenka, Dominique Desanti i wielki reżyser Le Chanois wygłaszali przed seansami prelekcje wyjaśniające.

Jean Thevenot powiedział o dokumentalnym filmie polskim:

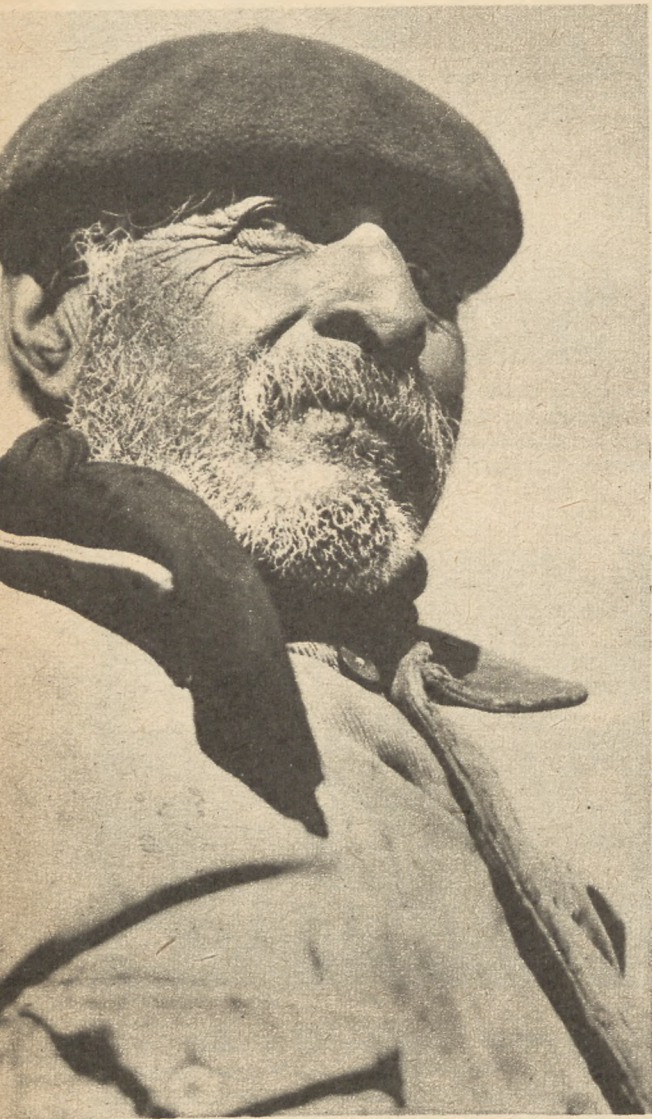
— Ostatnio zaczyna się powszechnie mówić o polskiej szkole filmu dokumentalnego, mającej charakter społeczny i poświęconej ukazywaniu wysiłku całego narodu, budującego kraj.

Po ukończeniu seansów w „Studio 43” na żądanie publiczności, która nie zdążyła zobaczyć filmów, seanse mają być powtórzone jeszcze 4 lutego.

Te same filmy demonstrowano również w osiedlach górniczych na tzw. Nordzie (departament na północy Francji), gdzie publiczność składała się z polskich górników i ich rodzin.

Sala „Studio 43” podczas wyświetlania filmów polskich przepelniona publicznością francuską, która z zaciękawieniem śledzi akcję na ekranie, dowiadując się z filmów o życiu Polski Ludowej.





Ten „starzec” brazylijski ma tylko 50 lat. Jest już jednak niezdolny do pracy. Wyczerpały go lata bezustannego karczowania puszczy pod nowe plantacje.

WIELKA

PRZYGODA KAWY

JAN GITLIN

CEZAR był ostatecznie głupim człowiekiem — stwierdził kapitan portugalski Francisco de Malheta. Zakochać się tak naiwnie w Kleopatrze, żeby aż zaryzykować swoje imperium? Gdyby wierni oficerowie nie oderwali go od niej niemal siłą, przepadłby z kretesem.

Francisco de Malheta zamierzał zdobyć „imperium kawowe”. Postanowił jednak nie poddawać się miłości. Bo chociaż porównywał piękność żony gubernatora Francuskiej Gujany z wizerunkiem Kleopatry — interes pozostał interesem. Zdobył serce gubernatorowej, ale kochał do czasu kiedy przy jej pomocy wywiózł z Gujany jedyne wówczas kraju produkującego kawę, sadzonki krzewów kawowych. Wywiózł je w tajemnicy przed władzami i... mężem pani gubernatorowej.

KAWA PRZEKROCZYŁA GRANICE CELNE

Tak kawa, omijając zakaz wywozu, znalazła się w Brazylii. Tysiąc sadzonek przywiezionych przez

Malheta do prowincji Para dał początek wielkim plantacjom kawy. Już po dwudziestu latach Para posiadała 17.000 drzew. Okolice doliny Paraíba i Rio de Janeiro pokryły się plantacjami kawy. Brazylija zaczęła eksportować kawę, na której grube pieniądze zarabiali Anglicy. Wybudowali oni nawet w 1873 roku pierwszą w Brazylii kolej żelazną, łączącą Paraíba i Minas Geraes z Rio de Janeiro. Kolej miała ułatwić wywóz i zwiększyć milionowe zyski.

Brazylija zagarnęła większość rynków zagranicznych, pokrywając już na początku XIX wieku 70% światowego zapotrzebowania kawy. Poszło łatwo. W pierwszych latach XIX wieku powstały w Anglii pierwsze kawiarnie t.zw. „Coffee Shops”, które dość szybko rozpowszechniły się w wielu miastach Europy.

Głównym importerem kawy stały się Stany Zjednoczone. 58% całego kawowego eksportu Brazylii

TYLKO NA NIEKTÓRYCH PLANTACJACH W BRAZYLII, SUSZENIE KAWY ODBYWA SIĘ MECHANICZNIE. POWSZECHNIE KRÓLUJE PRACA RĄK.



pochłania rynek amerykański. Monopolisci amerykańscy nie omieszkali wykorzystać tego faktu. Droga pożyczek udzielanych „na modernizację plantacji”, zawładnęli przemysłem kawowym Brazylii.

WYWÓZ... NA DNO MORZA

Produkcja kawy rosła ciągle, nawet mimo nieurodzajów powodowanych kaprysmi pogody. Jednak jej eksport regulowały kryzysy. W roku 1906 Brazylię zebrała 20 milionów worków, a światowa konsumpcja wynosiła tylko 12 milionów. Ten pierwszy poważniejszy kryzys kawowy został zażegnany przez zakaz zakładania nowych plantacji i instytucję t. zw. „waloryzacji”, polegającej na zakupieniu przez rząd kawy i magazynowaniu jej, aż do czasu sprzedaży.

Ale kiedy w 1924 zniesiono waloryzację i zakaz zakładania nowych plantacji, „fazendeiros” — wielcy plantatorzy, korzystając z licznej emigracji Europejczyków po pierwszej wojnie światowej, rozpoczęli masowe sadzenie krzewów kawowych. Ceny kawy zaczęły spadać w zawrotnym tempie. Z 24,8 centa za funt w 1929 roku do 7,6 centa w 1931. Światowy kryzys ekonomiczny spowodował załamanie całej gospodarki Brazylii. Rosło bezrobocie. Setki tysięcy bezrobotnych przystąpiły do walki rewolucyjnej. Getulio Dornelles Vargas zgłodził ruch rewolucyjny i wprowadził dyktaturę.

Problem kawy nie był jednak rozwiązany. Nowe wielkie plantacje zaczęły przynosić bogate plony, a monopole strzegły swych wilczych praw. 50 największych firm zmonopolizowało w swym ręku wywóz kawy w porcie Santos. Narzucona przez nie kontrola cen spowodowała, że Kolumbia i Wenezuela sprzedawały duże ilości kawy, uniemożliwiając zbyt plantatorom brazylijskim. Kawa popłynęła morzem, ale nie na okrętach. Suszyła się, ale nie w suszarniach. Niszczenie kawy stało się metodą wyjścia z kryzysu. Od pierwszych kryzysów do 30.VI.1944 r. właściciele wielkich plantacji wrzucili do morza lub spalili blisko 79 milionów worków kawy po 60 kg każdy!

Lata powojenne przyniosły ostry zastój w gospodarce Brazylii. Zmarshallizowane kraje Europy Zachodniej wciągnięte do szaleńczej polityki zbro-

jeń nie kupują kawy w normalnych ilościach. Nie mają dolarów na jej zapłatę.

Plantacje kawy określają krajobraz wielu prowincji Brazylii. Pagórki, skarpy i wszelkie wzniesienia pokrywają krzewy kawowe.

Kawa jest bardzo wymagająca. Krzewy kawowe sadzi się na głębokości około półtora metra w t.zw. „terra roxa” — czerwonej ziemi, która na tej głębokości rzeczywiście posiada kolor cegły. Okres sadzenia trwa od listopada do lutego, zbiory od maja do sierpnia. Owoce kawy mają postać „wisienek”, z których wyluskuje się ziarno. Po przesortowaniu „wisienek” w specjalnych zbiornikach z wodą, odrzuceniu wszelkich zanieczyszczeń i niedojrzałych owoców, następuje suszenie na słońcu w specjalnie do tego celu zbudowanych suszarniach. Następnie „wisienki” wędrują do maszyn dla ostatecznego oczyszczenia z łusek. Ziarna kawy po kąpiei i suszeniu nadają się już do użycia. Przesortowane według kształtu, wagi i wymiarów, spakowane w worki — wędrują w świat.

MASZyny I LUDZIE

Nie myślcie, że ten cały proces jest dziełem nowoczesnych maszyn. Tylko wielkie i nowoczesne plantacje, finansowane przez kapitał amerykański, posiadają urządzenia mechaniczne do siania i zbioru kawy. Z obawy przed strajkiem amerykańscy plantatorzy starają się zatrudnić jak najmniejszą ilość robotników

Większość plantacji opiera się jednak na ludzkiej sile roboczej.

Nie widziałem na plantacjach dobrze odżywionych robotników. Indianie, Metysi czy też Murzyni straszają swym wynędzniałym wyglądem. Osiedla robotnicze pełne są dzieci o wzdętych brzuskach, przeobrażenie chudych i wystraszonych. Na widok dozorców uciekają na swoich krzywych nóżkach do nor, które służą całym rodzinom za mieszkania. Tam już im nic nie grozi prócz głodu. Tam dozorczy się nie pokazują!

Straszny jest los starców w Brazylii. Plantatorzy dają pracę tylko młodym — i to nie wszystkim.

Dlatego też ludzie niezdolni do pracy giną z głodu, albo opuszczając plantacje udają się do miast i wraz z tysiącami innych nędzarzy żebrzą.

KAWOWA ARYSTOKRACJA

Ale kawa ma również swoją „arystokrację”. Należą do niej specjaliści plantacji krzewów kawowych i dozorczy. Ci ostatni dyrygują robotnikami. Nie obchodzi ich nadludzka praca robotników, warunki ich pracy — stałe moczenie rąk w wodzie, praca w zgiętej pozycji pod palącymi promieniami słońca w czasie zbioru i suszenia kawy. Każdy podejrzany o sympatię z ruchem rewolucyjnym, każdy pracujący mało wydajnie — zostaje natychmiast wydalony z plantacji. Powiększa milionową armię bezrobotnych.

„Arystokracja” pracowników umysłowych to... kwalifikatorzy kawy. Są to ludzie, których jedynym obowiązkiem jest picie kawy każdego gatunku, każdego zbioru i kwalifikowanie jej.

Dużo kłopotów sprawiają ci „smakosze” towarzystwom ubezpieczeniowym. Bo nawet dla nich, przyzwyczajonych do ubezpieczania nóg tancerek, wyścigowych koni i spacerowych piesków, problem ubezpieczenia podniebienia i smaku zawodowych pijaczy kawy, jest nieco skomplikowany.

WALKA TRWA

Piękne i nowoczesne dzielnice, zamieszkałe przez kastę ludzi bogatych nie zasłonią nędzy Brazylijczyków. Zyski z eksploatacji kraju płyną nieprzerwanym strumieniem za granicę, do dolarowych zarobców.

Brazylia, tak jak cała Ameryka Łacińska, jest kolonią kapitału amerykańskiego. Krajem rządzi krwawy dyktator, wierny przyjaciel USA — Getulio Vargas, który już nieraz rozprawiał się w okrutny sposób z rewolucyjnymi wystąpieniami robotników.

Mimo to walka trwa. Zepchnięta w podziemie Komunistyczna Partia Brazylii, skupiająca w swych szeregach 200 tysięcy członków, organizuje masy robotnicze i chłopskie do walki o lepsze jutro, o zachowanie i utrwalenie pokoju, o wyzwolenie narodowe.

Oto rudery zamieszkałe przez robotników



... i pałace wielkiej burżuazji, mieszczące się w najelegantszej dzielnicy Rio de Janeiro — „Copacabana”



„ZAWODOWI SMAKOSZE” KAWY — WYŚOKO PŁATNA ARYSTOKRACJA NA PLANTACJACH.



UCZTA BALTAZARA

POWIEŚĆ

Ilustracje: IRENA KUCZBORSKA

— Lewo. Lewo. Jeszcze.

— Znowu cisza. Jasny gwint! — denerwował się Uriaszewicz.

Nagle na trawersie prawej burty ujrzeni. Przysłonięte grubą warstwą wody migotało światło. Dzwon jęczał głucho. Fale niosły boję w ich stronę.

— Ostrożnie! — krzyknął Czeczuga. — Wolno, wolno!

Niepodobna było złapać ją bosakiem.

— Na wprost! Na wprost!

Boja mogła przewrócić łódź, a nawet ją strzaskać... Dystans, ustawienie, fala, przechył zarówno boi jak łodzi, stopień tego przechyłu decydował, a wszystko w mgnieniu oka uległo zmianie.

— Psia jej mać — żuł przekleństwa Uriaszewicz.

Czeczuga zaciskał zęby. Brwi opuszczone zasłaniały mu do połowy oczy. Dziesiątki razy był o włos od uchwytu boi hakiem, jednak nie trafiał. Zmordował się. W pewnej chwili bosak, pchnięty nagłym zwrotem boi, wypadł mu z ręki. Andrzejowi udało się go wyłowić. Stał na miejscu Czeczugi. Boję co pewien czas kładło tak, że jej znak szczytowy nurzał się w wodzie. Uchwyt jeden i drugi raz śmignął im nad głowami. W pewnym momencie znak szczytowy pochylił się raptownie ku nim. Na szczęście trafił w wodę.

— Jakby tak dziabnął w łeb — zląkł się Czeczuga o Uriaszewicza, który był bliżej — ...amen!

— Co jest! — wściekał się Andrzej.

Hak w ręku Czeczugi o włos rozmiął się z uchwyt — o łokieć. Dlatego też powtórnie przejął ster, a Czeczuga, rozstawiwszy nogi, zaparł się mocno na dziobie. Czeczuga, wygięty do przodu, celował bosakiem i jeszcze raz pława wybiła mu bosak z ręki.

Zawołał: — łap, łap!

Uriaszewicz sięgnął po bosak. Poczul opór. Zaczepił uchwyt! Miał go!

W tym momencie Czeczuga zwałił go z nóg. Bosak wdarł się Uriaszewiczowi pod ramię. Przeszył go ból. W ułamek sekundy potem znak szczytowy boi, samo ostrze żelaznego trójkąta, zdarło Uriaszewiczowi czapkę. Ale, że już leżał, zaledwie musnęło mu skórę.

— Do licha, smarkaczy brać! — teraz dopiero dał upust swemu oburzeniu Czeczuga. Zachowując się tak lekkomyślnie — możecie sobie na motyle chodzić!

— Mam ją! Trzymam!

Uriaszewicz leżał na brzuchu. Ramię jego pozustawało za burtą. Odkąd podniósł bosak, wpatrzony był tylko w uchwyt. Nie zauważył, jak nagle przechyliło ku niemu boję. Z okrzyku Czeczugi nic nie rozumiał. Rozumiał wyłącznie jedno: ma uchwyt, którego nie wypuści. Istotnie udało mu się!

Czeczuga przyczołgał się do niego, gdyż zaczęło strasznie rzucać. Motorówka stała przy samej boi. Czeczuga przewłókł linę przez uchwyt i nareszcie odepchnął się na pewną odległość od pławy.

— No, koniec z nią — rzekł — jest na sznurku.

Umocował linę na motorówce.

— A wy jak? — spytał. — Sińca wam nabilem odpowiedzialnego.

— Nie szkodzi. — Uriaszewicz chciał wyciągnąć rękę do bosmana. Lecz cofnął ją. Aż syknął z bólu.

— Co znowu? — Czeczuga pochylił się ku niemu.

Wziął go za łokieć. Uriaszewicz miał kurtkę i koszulę pod pachą w strzępach, bok skrwawiony.

— Nic takiego — zdobył się na uśmiech. — Zagoi się.

— A pewnie — odparł Czeczuga. Odebrał mu ster i pomógł przesiąść się na swoje miejsce. Ramię rwało cholernie. Posuwali się wolniutko, ciągnąc za sobą boję. Kiedy wpłynęli przez wejście między dwoma głowicami falochronów do awanportu, doszedł do ich uszu ryk syreny. Posłuchali chwilę jej żalostnego głosu i uśmiechnęli się do siebie.

Odholowawszy boję do zamkniętego basenu, skierowali motorówkę pod kapitanat. Na koi stał Birkut i starszy marynarz Cyrus. Pogawędzili chwilę i udali się wszyscy czterej do biura, gdzie Birkut i Cyrus pomogli Uriaszewiczowi doprowadzić się do porządku. Kapitan portu poczęstował ich wódką. Aluminiowy kiłiszek poszedł w ruch. Wypili trzy kolejki, zaczynając zawsze od Czeczugi i Uriaszewicza. Należało im się to wyróżnienie. Wódka smakowała. Ale trzeba było wracać do pracy. Skierowali się ku drzwiom.

Birkut zatrzymał Uriaszewicza.

— Zostań jeszcze. Doktor musi ci opatrzyć ramię.

— Nie warto — wyprostował się Uriaszewicz — też pójdę.

— Siądziesz, czy nie! — krzyknął Birkut. — I nie ruszaj się stąd, aż do przyścia konowała.

Zatrzymał również Cyrusa:

— Zadzwoń do lekarza.

Uriaszewicz przyknął na moment oczy. Plekły. W uszach odezwał się szum i huczenie syreny. Cyrus łączył się z coraz to innym numerem. Wreszcie ustalił, że doktor zakończył wizyty i jest jeszcze na mieście.

— Na rynku, w jakimś sklepie — burknął kapitan — w czytelniku albo na piwie.

— Trafie ja do niego — zapewnił Cyrus. — Znajdzie się.

Starszy marynarz zamknął za sobą drzwi. Uriaszewicz poprawił się w fotelu.

— Jak łapa? — zagadnął Birkut.

Przysunął krzesło.

— Oprzyj na nim nogi — zalecił — i wyciągnij się.

— Co ty się tak cackasz ze mną? Dajże mi stąd wyjść!

— A co, źle ci tu?

— Mam zajęcie.

Spróbował się ruszyć, lecz Birkut przygwoździł go wzrokiem.

— Nie kręć się — pogroził palcem. — Bo, jak Boga kocham, wezmę linkę i przywiążę cię do fotela, jak prosię.

— Dziękuję za uprzejmość — roześmiał się Uriaszewicz. — Tyle ceregieli!

— Chcesz papierosa?

— Proszę.

Palili w milczeniu.

— Tyle ceregieli, powiadasz — odezwał się Birkut. — A ja właśnie często sobie wyrzucam, że tobą za mało się zajmuję. Od tak dawna u nas jesteś, a nie miałem czasu pogadać z tobą. Taki człowiek zalatany, zatelefonowany, zakonferowany, że podobne rozmowy odkłada i odkłada.

— A z mojej roboty jesteś zadowolony?

— Ujdzie w tłoku.

Uriaszewicz wychylił się ze swego fotela w stronę Birkuta.

— No, to pamiętaj o robocie dla mnie — rzekł. — To mi wystarczy.

— A nie! — zaprzeczył Birkut. — Robota, robotą a gadanie gadaniem. Też jest ważne.

— Mówisz o takim rozwidniającym w głowie gadaniu?

— O takim.

— No toś właśnie ze mną pogadał w ten sposób — przypomniał pamiętny dla siebie dzień przybycia do Olikany. — Wtedy, kiedy wystąpiłeś na Akademii. Do tej pory dźwięczą mi w uszach słowa twego przemówienia.

— Nic dziwnego — zgodził się Birkut. — Nie znałeś tego.

Uriaszewicz był zmęczony i jednocześnie podniecony.

— Ty mówiłeś ze mną — powiedział. A i przed tobą ze mną gadali. Mówili ludzie i przemawiała praca. Ale do Olikany przybyłem jeszcze, jako zupełnie duren.

Przerwał na krótką chwilę, skłonił głowę. Znowu ją podniósł i tłumacząc swoje sprawy, patrzył cały czas Birkutowi w oczy.

— Przygnębiony byłem zniszczeniem Warszawy — zaszeptał. — Klęskę zniósłbym, ale nie to, że człowiek wraz z tysiącem swoich najlepszych kolegów, wraz z miastem, wraz z milionem ludzi, został rzucony na jedną kartę w jakimś dzikim, podejrzanym manewrze. Straciłem zaufanie, a nie zastąpiła go żadna mądrość. Bo skąd? Od kogo? Z domu? Czy może od tych Lewartów, koło których kręciła się moja rodzina.

— Kto to taki?

— Fabrykanci, u których pracował ojciec i stryj.

— Jedź dalej.

— W tych dniach pamiętnych nabrałem takiego wstrętu do swoich, do świata, niechęci do wszystkich porywów. Nieomal pogardy. Jedni, podobni do mnie, staczali się wówczas w cynizm, inni w rozpacz. Tak, jak ja. Postanowiłem do końca życia nigdy nie mieć z niczym nic wspólnego.

— Chciałeś się zemścić za to, co zaszło?

— Coś w tym rodzaju.

— Na kim? — spytał Birkut. — Czy wiesz przynajmniej w co i w kogo godzi taka postawa?

— Wiem. Pozbyłem się. Już nieaktualna.

— Masz tę pewność?

— Mam. Chciałbym teraz nadgonić stracony czas. Pracować i pracować.

Kapitan Birkut sięgnął po papierosa, którego na początku rozmowy z Uriaszewiczem odłożył.

— Rozgrzyż ty, bracie, jeszcze jedno, może najważniejsze — rzekł. — Robota robotą, lecz rezultatu nie osiągniesz tylko przez wykonywanie powierzonych ci pracy. Musisz znaleźć cel w życiu, a gdy go znajdziesz, ludzie pomogą ci znaleźć do niego drogę.

— Znajdę.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim powrócili do rozmowy.

— Ty pewnych rzeczy nie możesz zrozumieć — zaczął Uriaszewicz. — Na przykład podobnego stanu załamania, kiedy człowiek zaszyłby się gdzieś w jaką dziurę, albo poszedł, gdzie pieprz rośnie. Nienawidzę wszystkiego dokoła. I kraju i ludzi. Ty nigdy nie czułeś czegoś podobnego nawet przez chwilę!

— Ech, czuło się takie rzeczy, czuło — w ścisłym głosie kapitana pojawiła się nagle nuta wzruszenia. — Nie przez chwilę, ale o wiele dłużej... Czy wiesz, że mego brata zastrzelili? Już tu, w kraju.

Szparki jego kosych oczu, osadzonych w szarej, ziemistej twarzy, zwały się.

— Walczył z wrogiem i kiedy dowojował się wolności, wywlekł z wozu na szosę i zabili, jak psa. Wyprosił trochę pieniędzy dla okolic, skąd pochodzimy. Zawsze miał dla nich jakby osobne serce. Wracał z radością. Pieniądze wzięli, a w zamian za to w serce władowali kulę. Przypuszczasz, że gdy dowiedziałem się o tym, nie nienawidziłem?... Nie brakło i zniechęcenia. Trudno — natura! Ale kiedy wróciło zrównoważenie, wzmogła się tylko we mnie wola.

— Czy on był zaręczony? — przerwał Uriaszewicz.

Od chwili, kiedy Birkut zaczął mówić o sprawie brata, przebiełski jakichś skojarzeń przeszkadzały Uriaszewiczowi słuchać. Zamknawszy oczy przypomniał sobie pokój panny Klimontówny, a w nim na półeczce zdjęcie z wiązką wstążeczek orderowych. Przypomniał sobie również swoją bytność w wydziale szkolnictwa rolniczego, wtedy, kiedy nie zastał wizytatorki, będącej na ekshumacji narzeczonego, zamordowanego przed dwoma laty przez bandę pod Zamościem. Niezależnie od tych dwóch przesłanek czuł, że jeszcze jakiś trzeci element, jak gdyby wiążący się z poprzednimi, naprzykrza się jego pamięci, pozostając nieuchwytnym. Dał spokój, napomykając tylko o pierwszych.

— A owszem — odparł kapitan kiedy usłyszał nazwisko. — To jego panna. Zaduśmał się. Oparł głowę na rękach.



— Zmarowali jej szczęście — westchnął bardzo cicho. — A ona szczęścia była warta. A tak wszystko obróciło się w nicość przez tę śmierć, niepotrzebną nikomu.

Teraz Uriaszewicz pomyślał o Kuszlu, który padł w Mostnikach. Pomyślał o tym, jakie wrażenie zrobiła na nim ta śmierć. W łańcuchu zdarzeń i ona odegrała rolę ogniwa. Czując, jak serce mu wali, wyznał Birkutowi, ową, budzącą tyle oporów, refleksję.

— Śmierć twego brata też może — wargi mu drżały, kiedy to mówił — przyczyniła się do tego, że komuś otworzyły się oczy.

— Gorzka to pociecha, chociaż pociecha — Birkut do ledwo słyszalnego szeptu zniżył głos. — Wam ślepym naszą najlepszą krew przeznaczyć na edukację!

Pod wpływem bolesnego impulsu Uriaszewicz poderwał się, by podbiec do Birkuta. Lecz ramię w ostry sposób przypomniało o swych prawach. Syknął przez zęby.

— Co ty, byku, wyrabiasz — zawołał do niego ze sztuczną szorstkością Birkut. — Siedźże spokojnie.

Wstał i zbliżywszy się do Andrzeja położył mu rękę na czole. Potem skierował się do okna. Rozejrzał się po świecie.

— Już po wichurze — oznajmił. — Ale chyba jakaś grubsza pompa idzie na nas.

Zamilkł. Nie odwracał się. Stał przy szybie długo, wpatrzony w szarość poprzedzającą deszcz. Kiedy siadł z powrotem przy biurku, oczy iskrzyły się zwykłym ogniem. Siegnął po stos korespondencji do załatwienia.

— Widzisz, jaki to dylemat — rzucił, podnosząc w górę pęk listów. — Gadamy, to praca czeka. Pracujemy, to czeka gadanie.

— Będziemy dopiero mogli nagać się bez ograniczeń — wyraził nadzieję Andrzej, — kiedy ruszy port.

— O zdaje się, że nie — odparł Birkut. — Jak tylko ruszy, przejdę z Olikań, do innej roboty.

— Zabiorą ci port? — zdumiał się Andrzej. — Twoje dziecko?

— Bo ja, trochę jak panna, urodziłem je w nieślubny sposób. — Ton Birkuta znów nabrał właściwej mu, hałaśliwej prężności. — Na wychowanie, według wszystkich reguł przyzwoitości, weźmie je już kto inny.

— Niemożliwe!

— A jak inaczej? Ja przecież jestem tutaj kapitanem z przypadku. Dobry i dopuszczalny jeszcze na okres odbudowy jako inżynier, na okres wstępny, partyzancki. Ale tu przecież w pierwszym rzędzie potrzebny jest ktoś, kto się zna na nawigacji.

— Przyjdzie ktoś nowy?

— Sądzę, że nie — wyraził przypuszczenie Birkut. — Myślę, że Ministerstwo zamianuje Czczugę. Gość dojrzały, fachman, mądry marynarz.

— A ty?

— Ja tu, w Olikanie, miałem trochę czasu popracować nad sobą. Przypomnieć sobie to, co wojna z mózgowicą wytrząsnęła. Podciągnąć się. Partia zakłada, że lepszy ze mnie będzie pożytek na politechnice.

— Na katedrze?

— Nie tak zaraz — roześmiał się Birkut — ale może pomalutku.

Teraz z kolei zapytał Uriaszewicza o plany na dalszą przyszłość.

— Długo by mówić.

— A krótko?

— Studia.

Zawahał się chwilę.

— Chciałbym w Warszawie.

— A może lepiej w Gdańsku — poddał Birkut. — Jesteś człowiekiem, bądź co bądź, związanym już z Wybrzeżem.

— Mam kogoś w Warszawie — z lekka poczerwieniał Uriaszewicz.

— No, to przez lato zostań tu. Podkuj się trochę. Od jesieni mógłbyś już osiąść w Warszawie.

— Tak myślałem.

— Pomogę ci, jeśli to będzie możliwe.

— Zobowiązujesz mnie. Ty i w ogóle wy wszyscy.

W drzwiach nieśmiało i zwolna uchylonych ukazała się twarz. W pierwszej sekundzie Birkut nie zorientował się, czyja.

— Słyszę, że pan kapitan potrzebuje lekarza — rozległ się dźwięczny głos, nieznanym Andrzejowi. — Czy moja osoba nie mogłaby się przydać?

— Ach, to pan, doktorze. Prosimy, prosimy! — Birkut podniósł się z krzesła, by się przywitać. — Jak tam? Rozgościł się już pan? A dzieci zadowolone?

— Aż zanadto! Mało domu nie rozwalą.

Dopiero po tych słowach Uriaszewicz przypomniał sobie, że dziś rano przybył do Olikań pierwszy turnus dzieci na kolonię. Umieszczono je w domu, który przygotowali w godzinach wolnych od zajęć. Dzieciom towarzyszyć miał młody lekarz, absolwent Akademii Medycznej, dla którego turnus miał być odpoczynkiem i praktyką. To był on. Wyjaśnił, że przed chwilą zetknął się na rynku z kolegą kapitanem i dowiedział się od niego, że w kapitanacie jest ktoś ranny.

— Oto pacjent — Birkut wskazał lekarzowi Uriaszewicza.

W tym momencie zadzwonił telefon. Birkut podniósł słuchawkę.

— Właśnie pan doktor zjawił się u nas. Dziękuję wam, Cyrus.

Uriaszewicz niewiele czasu zajął lekarzowi. Sprawa przedstawiała się prosto. Ścięgo naruszone. A więc jodyna, bandaż z podręcznej apteczki w kapitanacie.

I — ze dwa dni w domu.

— A jak samopoczucie chorego? — zagadnął lekarz.

— Wyborne!

— W takim razie pozostanie w domu trzy dni — wtrącił Birkut. — W przeciwnym razie gotów zabrać się do pracy. Dziarski chłop, doktorze, w nim siedzi!

Doktor schował do białej apteczki lekarstwa, nożyczki i pozostałe bandaże. Wyciągnął rękę do Uriaszewicza, by się pożegnać. Zegnając się z Birkutem, powiedział:

— Panie kapitanie, jutro organizujemy powitalne ognisko.

— Na Zamkowym Wzgórzu?

— Na Zamkowym. Koniecznie prosimy.

— Przyjdę — zapewnił Birkut. — Cały port przyjdzie. Całe miasteczko.

— Tylko mój pacjent nie — zwrócił się lekarz w stronę Uriaszewicza. — Będzie musiał tkwić w domu.

— Trudno — zażartował z siebie Uriaszewicz — skoro tak pięknie wyszykowałem się właśnie na niedzielę.

Po wyjściu lekarza, kapitan Birkut przynaglił Andrzeja:

— Leć teraz, chłopie, do siebie i wyciągaj nogi — rzekł, spoglądając z okna w niebo. — Bo cię zleje!

Na dworze chłód przejął Uriaszewicza. Wiatr poruszał gałęzie i liście drzew. Uriaszewicz śpieszył się. Gdy znajdował się już blisko domu, spadły pierwsze krople deszczu. Rozmazywał je po twarzy i po wargach, splekanych od morza i od gorączki. Delikatne dreszcze przelatywały mu po skórze. Policzki pałały. Nagle niebiosa się otworzyły i polały się na niego strugi wody. Gnał na oślep z dziwnym uczuciem w sercu. Gdy biegł, ból w ramieniu stawał się przeszywającą od szybkiego ruchu. Zły był, że przykuty będzie na kilka dni w domu, a zarazem czuł, że palił się w nim jakiś odżywczy płomień.

— Ty — usłyszał raptem poprzez monotonne ściekanie deszczu.

Pośliznął się po błocie, takie to było nagłe.

— Co to? — krzyknął zdumionym głosem. — Kto?

— Ja! No, ja...

Teraz ktoś wyrósł przed nim na odległość ramienia. Wyrósł i przez kilka sekund stał w milczeniu. Uriaszewicz jeszcze nie rozpoznawał.

— Ja, no ja — rzekł ów obcy. — No, ja, Haza.

Zbliżył twarz do twarzy Uriaszewicza. Małymi, tępyimi, blisko siebie osadzonymi ślepiami, zajął w jego oczy.

— Konrad aresztowany — wyszeptał.

— Mój stryj?

— Tak.

— No więc? — uniósł brwi Uriaszewicz.

— Aresztowany, zrozum — Haza drgnął od stóp do głów. — Już z tego nie wyjdzie!

— Co za historia? Dlaczego?

— Wszystkich, wszystkich biorą!

— Stary kawał! Bzdury! — gniewnie rzucił Andrzej.

— To samo nazwisko nosisz. Przyszło mi na myśl cię ostrzec. — Próbował wytłumaczyć swoją obecność Haza.

— Mogłeś sobie zaoszczędzić tej fatygi — odparł Uriaszewicz. — Ale trochę mokro tu rozprawiać. Chodź do mieszkania.

Przed domem zatrzymał jednak Hazę.

— A ty sam — spytał — jaki z tą sprawą masz związek?

— Zaden — uderzył się w piersi Zbigniew Haza. — Na to ci przysięgam!

Przymusił się nawet do śmiechu. Pozbył się już strachu, który dawał go od chwili, gdy spadła na niego ta okropna wiadomość. Spozstrzegł, że w Uriaszewiczu zaszła jakaś zmiana.

— Co ty taki groźny? — spytał.

— A dlaczego tyś taki roztrzęsiony?

— Ja? W imię Ojca i Syna! — teraz Haza nie zająknął się nawet — Człowiek zmęczony drogą, a tobie nie wiadomo co strzela do głowy.

— Proszę — Uriaszewicz otworzył drzwi.

ROZDZIAŁ XXVIII

Zbigniew Haza nie widział jeszcze dla siebie ratunku. Z Warszawy przygnął pełen nadziei. Podczas krótkiej wymiany zdań z Andrzejem Uriaszewiczem nie stracił jej. Pojął tylko, że powinien zabrać się do rzeczy ostrożnie i z rozwagą. Przy stole w kuchni, gdzie go Andrzej poczęstował herbatą i na górce, gdzie mu odstąpił swoje łóżko, pojął o wiele więcej. Pojął, że z Uriaszewiczem może się nie udać.

Podsycał rozmowę rzucając pytania i — słuchał. Małych oczek nie odrywał od Uriaszewicza. Wielkimi, żyłastymi rękami ścisnął w zdenerwowaniu kolana. Zagadnięty, skąd tak nagle wpadł do Olikań, wybąkał, że zrobił sobie wakacje. Ale to wydało się dziwne, bo potem oświadczył, że planu nie ma, ani nie wie, jak długo zabawi u Andrzeja. Mówił mało. Nawet Andrzej to zauważył choć prze-

jęty był swoimi sprawami i z lekka odrzucony gorączką. Gdy zagadnął o jego małomówności, Haza zasłonił się zmęczeniem. Poszli więc spać.

Haza zbudził się pierwszy z kamiennego snu. Nie spał tak dobrze od dnia, w którym się dowiedział o aresztowaniu Konrada. Z dała od Warszawy wypoczywał lepiej. Ale też — czy długo? Kiedy do jego świadomości dotarł świergot ptaków, usiadł na łóżku. Rozejrzał się po pokoju. A gdy zorientował się, że jest w Olikanie, poczuł ulgę. Z ochotą przeciągnął się raz, drugi i trzeci, aż póki jego wzrok nie natknął się na połówkę ze śpiącym Andrzejem ustawioną przy przeciwnej ścianie. Haza zapałzył się na niego, zamyślił i ręce bezwładnie opuścił.

W końcu wstał. Ubrał się i zeszedł do kuchni. Parter był już pusty. Pokręcił się po kuchni. Zajął do pokoju Zandowej. Z kuchni przeszedł do sionki. Badał teren. Lecz nie znalazł tego, czego szukał. Drzwi z sionki prowadziły na pole. Były zamknięte na klucz. Więc ruszył w stronę okna. Już je otworzył, by się wślizgnąć, ale się zreфлектовał: był tu obcy, mógłby ktoś zauważyć i podnieść gwałt.

Wrócił zatem do kuchni, a następnie po cichu na górę. Uriaszewicz leżał na boku tak, jak go przed kwadransiem zostawił: z ustami lekko rozchyłonymi, z twarzą zwróconą ku ścianie. Haza wyciągnął rękę. Na krześle koło połówki wisiało ubranie Andrzeja. Już miał uderzyć po kieszeniach, by się przekonać, czy nie ma w nich klucza. Nie uczynił tego jednak, mogłyby zadźwięczeć. Wsunął palce do pierwszej lepszej, gdy nagle dostrzegł na stole jakiś klucz. Przyjrzał mu się, wydał mu się bardzo duży, wziął go jednak. Na krześle, w spodniach Andrzeja natrafił na inne. Wziął je i na palcach przebył całą drogę z pokoju Andrzeja do drzwi w sionce. Otworzył je i wyszedł się na dwór.

Okrażył najpierw willę. Potem przemierzył wzdłuż i wszerz mały ogród okalający ją. Z kolei — całą polanę. Przy każdym grzazach zatrzymywał się. Do każdego z nich wsadził nos. Wszystkie miejsca, gdzie mieszkano przed bombardowaniem kolonii, przyciągały jego uwagę. Ale żadne nie zadowalało. Muskulę jego twarzy pozostawały nadal ściągnięte. Napięcie nie zniknęło. Haza rozglądał się na wszystkie strony. Myśl jego pracowała z natężeniem. Dzień był suchy, niebo bez jednej chmury, morze spokojne. Haza jednak nic z tego nie zauważył. Węszył w skupieniu. Oczka jego przesłakiwały od parceli do parceli. Na wszystko kręcił głową. Nie znajdował tu tego, czego szukał. Żadnego zakamarka w na pół rozbitych i porzuconych zabudowaniach. Absolutnie nic.

Kto inny w jego położeniu już by zrezygnował, on — nie. Nie mógł myśleć. Trzymał się więc kurczowo swego początkowego planu, ale ram dla jego realizacji nie znajdował. Z polany skierował się do lasu. Zainteresowały go kępy buczyny, ale to nie było to. Uszedł jeszcze prawie sto metrów, zwalniając kroku.

Balszy ciąg nastąpi

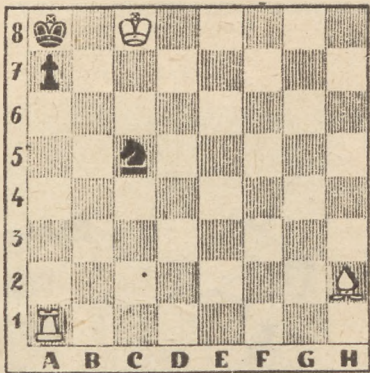


SZACHY

KONKURS ROZWIĄZANIOWY

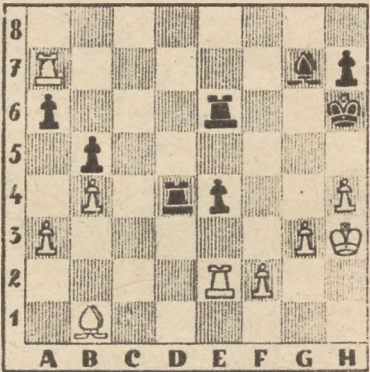
W bieżącym numerze rozpoczynamy III konkurs rozwiązań, oparty na tych samych zasadach, co poprzednie. Konkurs „A” składać się będzie z 5 zadań, konkurs „B” — z pięciu ciekawych pozycji z partii. Rozwiązania prosimy nadsyłać na adres Redakcji w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru.

KONKURS „A” — ZADANIE 21 (autor — Ł. Kubbel)



Mat w 3 posunięciach. Kontrola diagramu: białe — Kc8; Wa1; Gh2. Czarne: Ka8; Sc5; pa7.

KONKURS „B” — ZADANIE 22



Powyższa pozycja powstała w partii naszego arcymistrza Rubinsteina (białe) z Austriakiem Gruenfeldem (turniej w Semmering, 1926 r.). Białe piękną kombinacją rozstrzygnęły partię na swoją korzyść. Jaka to była kombinacja?

PARTIA Nr 13

grana podczas ostatniego, XIX czermpionatu ZSRR.

Partia hiszpańska

białe: W. Smysłow

czarne: M. Botwinnik

1. e2—e4 e7—e5 2. Sg1—f3 Sb8—c6 3. Gf1—b5 a7—a6 4. Gb5—a4 Sg8—f6 5. 0—0 Gf8—e7 6. Wf1—e1 b7—b5 7. Ga4—b3 d7—d6 8. c2—c3 0—0 9. h2—h3 Gc8—e6.

Posunięcie to zastosował słynny szachista rosyjski Czygorin jeszcze w r. 1904. Ostatnio wprowadzili je znów z powodzeniem do praktyki turniejowej szachiści radzieccy.

10. d2—d4 Ge6:b3 11. Hd1:b3 Hd8—d7.

Wariant z wysunięciem hetmana na d7 był parokrotnie stosowany na XVIII czempionacie ZSRR i okazał się korzystny dla czarnych.

12. Gc1—g5.

Smysłow rezygnuje z utartych dróg i stosuje inny, nowy plan rozwoju.

12. ...h7—h6 13. Gg5:f6 Ge7:f6 14. d4—d5 Sc6—a5 15. Hb3—c2 c7—c6 16. d5:c6 Hd7:c6 17. Sb1—d2 Wa8—c8 18. Wa1—c1 Wf8—d8 19. Sd2—f1 Sa5—c4 20. b2—b3 Sc4—b6 21. Sfl—e3 d6—d5.

Czarne dążą do otwarcia pozycji, by uwolnić swego gońca. Decyzja ta jest jednak przedwczesna.

22. Se3—g4! d5—d4 23. Sg4:f6 + Hc6:f6 24. Hc2—b2 d4:c3 25. Wc1:c3 Sb6—d7 26. We1—c1 Wc8:c3 27. Hb2:c3 Hf6—d6 28. Hc3—c6.

Smysłow subtelnie prowadzi grę wykorzystując swą inicjatywę. Czarne jednak bronią się bardzo dokładnie, parując wszystkie groźby.

28. ...Sd7—f6!

Zarówno wymiana hetmanów, jak i odejście czarnym hetmanem prowadzi do straty piona.

29. Hc6:d6 Wd8:d6 30. Sf3:e5 Sf6:e4 31. f2—f3 Se4—g5.

Groziło 32. Wc8+, 33. Wh8+ i 34. S:f7+.

32. f3—f4 Sg5—e6 33. f4—f5 Se6—d8 34. Wc1—c8 Kg8—f8 35. Kgl—f2 Kf8—e7 36. Kf2—e3.

Po 36. W:d8 W:d8 37. Sc6+ Kd7 38. S:d8 K:d8 39. Ke3 Ke7 40. Kd4 Kd6 czarne uzyskałyby remis.

36. ...Wd6—d1?

Czarne broniły się do tej pory znakomicie, teraz jednak popełniają omyłkę. Należało grać Wd5!

37. Wc8—a8! Ke7—f6 38. Se5—d3 Sd8—c6?

Błąd w niedoczasie, który przyspiesza i tak już nieuniknioną porażkę.

39. Wa8:a6 i czarne poddały się.

TANIO i ŁADNIE

Bluzki i spódniczka są dziś podstawowym strojem kobiety. Przekonałyśmy się, że możemy być w nich równie eleganckie jak i w kosztownej sukni. A poza tym są one o wiele tańsze. Gdy uszyjemy sobie kilka bluzek — sportową z flaneli w paski lub kratkę, albo z materiału koszulowego, efektowniejszą z jedwabiu białego do wyjścia, stroje nasze będą bardziej różnorodne. Sweterki wełniane lub bawełniane, które są obecnie tak popularne uzupełnią naszą garderobę. „bluzkową”. Bluzki mają i tę dobrą stronę, że są b. praktyczne. Pranie ich i prasowanie nie sprawia żadnych trudności, a przy pracy są bardzo wygodne.

Oto trzy praktyczne modele bluzek, które w połączeniu ze spódniczką dają bardzo przyjemne połączenia.

1. Sportowa bluzka z wełenki lub lekkiego barchaniku w kratkę. Rękaw ze szwem na wierzchu przechodzi w szeroki karczek, z przodu przymarszczony. Dół bluzki zupełnie gładki.

2. Zapięcie z przodu karczka. Rękawy z karczkiem kroimy tak, by kratka wypadła ukośnie.

3. Efektowna bluzka z białego, chińskiego jedwabiu. Szeroki koszulowy rękaw wykonany wywinieciem mankietem, zapiętym po męsku. Małe karczki przytrzymuje lekkie przymarszczenie i fałdy przodu bluzki. Zapięcie wykończone plisą. Kołnierzyk lekko podniesiony, z wywinieciem ostrymi różkami. Na co dzień wkładamy tę bluzkę z opuszczonym kołnierzykiem, podnosimy zaś go fantazyjnie i ozdabiamy aksamitką, gdy łączymy bluzkę z szeroką rozkloszowaną spódnicą, aby stworzyć w ten sposób ładny strój na zabawę.

4. Skromna bluzeczka z wszytym, koszulowym rękawem. Każda strona przodu ozdobiona trzema wąskimi zakładkami. Mały podniesiony kołnierzyk. Zapięcie bluzki na trzy szeroko rozmieszczone guziki. Bluzeczka ta świetnie pasuje do garsonki.

FILATELISTYKA

ZNACZKI RADZIECKIE



W ZSRR ukazała się w obiegu seria znaczków, propagujących masowy sport lotniczy. Seria składa się z 4 znaczków wielobarwnych, drukowanych techniką rotograwiurów.

Znaczków za 40 kopiejek przedstawia odznakę DO SAW (Tow. Popieprania Lotnictwa), znaczek za 60 kop. — modelarzy, za 1 rubel — masowe skoki spadochronowe, za 2 ruble — samoloty po starcie.

Pierwsze trzy znaczki mają format 27 x 40 mm, czwarty — 45 x 25 mm. Ząbkowanie wszystkich 12 1/4.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

LOGOGRYF — HASŁO

Następujące wyrazy: chwyt — dalia — dowód — Eliza — glina — lejek — osoba — plama — rebus — rewia — salon — smuga — smycz — tęczna — uncja — wędka — zwada — wpisać do poziomych rzędów podanej figury w ten sposób, aby litery, które znajdują się w oznaczonych kółkach polach, czytane kolejno rzędami poziomymi, dały rozwiązanie. Dla ułatwienia podajemy, że pierwszym wyrazem, który należy wpisać, jest dalia, a ostatnim — smuga.

Rozwiązanie należy przysłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Za dobre rozwiązanie przyznanych zostanie

10 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH.

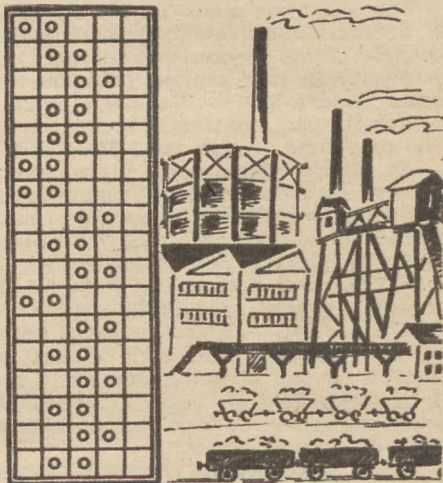
ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 20

LOGOGRYF PERMUTACYJNY:

Zbudujemy w Warszawie metro (zagon-gazon, torba-tabor, gusła-sługa, odzew-wodze, arbus-Bzura, Jakub-bujak, ocean-ocena, motyl-tymol, rybak-bryka, wrota-towar, larwy-rywal, palma-plama, brona-baron, salwa-wasal, nosze-sezon, pałac-placa, werwa-Wawer, lapis-plisa, Niobe-niebo, miara-armia, derka-kreda, sonet-notes, Roman-norma, okład-kłoda).

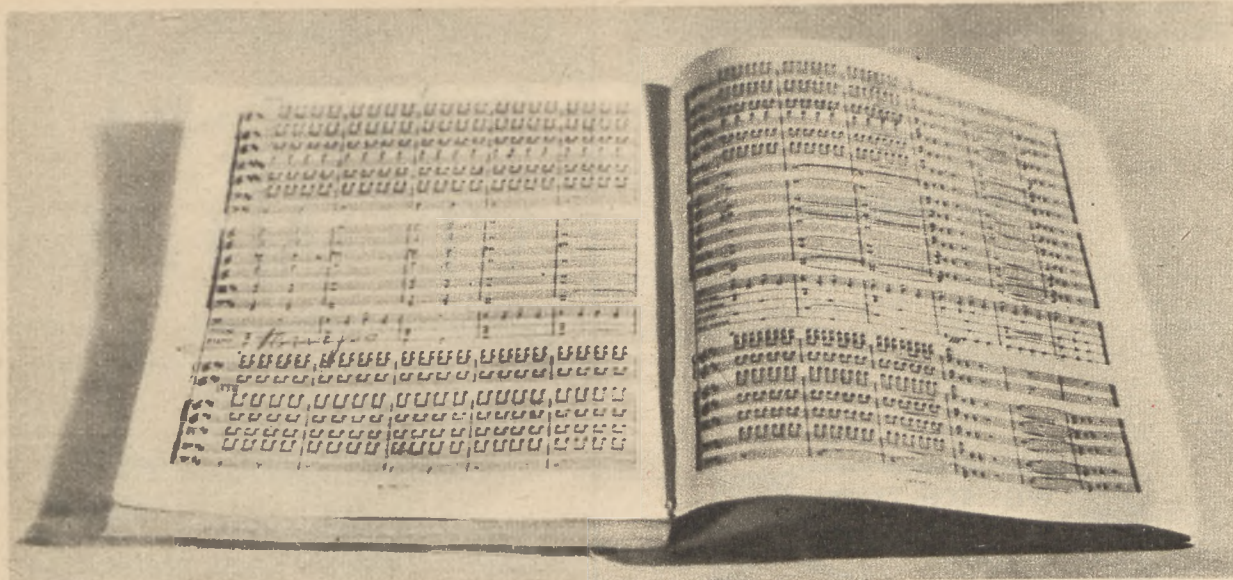
Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 20 nagrody książkowe otrzymują:

1) Jolanta Chromińska — Mińsk Maz., ul. świerczewskiego 52; 2) Zdzisław Józwiak — Łódź 6, ul. Lewantyńska 6; 3) Walerian Jung



— Warszawa, ul. Górczewska 15, m. 94; 4) Lech Konopkiński — Poznań 5, ul. Czechosłowacka 24 m. 2; 5) Jan Matulewicz — Dęba-Osiedle, blok 90 m. 18, pow. Tarnobrzeg; 6) Dorota Niemcowa — Bielsko, ul. Zielona 10 m. 4; 7) Jerzy Rozenrytt — Łódź 9, ul. Popularna 16 m. 1; 8) Konrad Rytter — Warszawa, al. Niepodległości 218/731; 9) Olga Szczesnowicz — Kraków, ul. Szymanowskiego 1 m. 12a; 10) Maria Wronowa — Łódź, ul. 22 Lipca 19 m. 7.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.



FRAGMENT PARTYTURY V SYMFONII D. SZOSTAKOWICZA, WIELKIEGO KOMPOZYTORA ZSRR

Rozmawiamy o muzyce

UZUPEŁNIENIA

JERZY WALDORFF

NINIEJSZY felieton, będący uzupełnieniem cyklu felietonów poświęconych wiedzy o orkiestrze symfonicznej, piszę z pewną — nie wiem, czy słuszną — satysfakcją. W listach bowiem nadesłanych do „Świata” przez Czytelników, zawarte są pytania raczej marginesowe, które świadczyłyby o tym, że wykład o orkiestrze był na ogół jasny. Jeden tylko z tych listów wysuwa dość poważną pretensję. Dlatego na ów list odpowiem przede wszystkim.

Ob. J. Ciszewski z Gdańska dziwi się, że pisząc o pracy kapełmistrza nie napisałem nic o partyturze, czyli o nutach, z których kapelmistrz dyryguje.

Co to jest partytura? — To jest... szaleństwo! Wiemy, że dla początkującego pianisty pierwszą wielką trudnością przy czytaniu nut jest równoczesne czytanie znaków nutowych, zapisanych na dwóch pięcioliniach. Na górnej, która zawiera nuty do wygranania w wiolinie, czyli po prawej stronie klawiatury i na dolnej, zawierającej nuty basowe. Tymczasem dyrygent prowadzący orkiestrę, musi czytać równocześnie — z góry w dół — nuty zapisane na co najmniej 11 pięcioliniach (np. w utworach symfonicznych Mozarta). W nowoczesnych utworach, komponowanych na orkiestrę o większej ilości instrumentów, pięciolinie w partyturze dochodzą do 30, a nawet przekraczają tę liczbę! — Gdy bowiem w nutach na fortepian muszą być tylko pięciolinie dla prawej i lewej ręki, to w partyturze jest ich tyle, ile znajduje się w orkiestrze różnego rodzaju instrumentów. A do tego dochodzą często pięciolinie z głosami dla chóru i solistów...

Dyrygent, prowadząc orkiestrę, zobowiązany jest wyłowić zaraz fałsz któregoś tam instrumentu nie tylko uchem, ale i dostrzec go równocześnie okiem w gęstwie nut na stronie partytury. Wtedy to — ku podziwowi obecnych na próbie słuchaczy — dyrygent zatrzymuje orkiestrę i woła: „Druga trąbka ma w 135-tym takcie nie nutę „d” tylko „dis”!”.

Aby Wam dać, Czytelnicy, pełne pojęcie o niezwykłych zdolnościach, jakie muszą cechować dyrygenta, wspomnę jeszcze, że ideałem każdego dyrygenta jest dyrygowanie bez partytury, gdyż... partyturę winno się znać na pamięć!

Ob. M. Wojciechowska z Lublina. Niesłusznie ma Pani do mnie pretensję o to, że niezbyt dokładnie na-

писаłem, jak się gra na instrumentach z kwintetu smyczkowego. W popularnym wykładzie chciałem dać tylko zarys wiadomości wystarczający na to, by chętny Czytelnik mógł później rozszerzyć owe wiadomości „na własną rękę”. Dlatego nie napisałem, że np. na wiolonczeli gra się, trzymając instrument między rozwartymi kolanami, oparty o podłogę. Takie szczegóły może zauważyć każdy z każdym koncertem. Jeśli zaś idzie o sprawy trudniejsze, jak np. rozpiętość skali tonów dla poszczególnego instrumentu smyczkowego, podział tonów na struny i t.p. to odsyłam zainteresowanych do świetnej pracy prof. K. Sikorskiego pt. „Instrumentoznawstwo”, wydanej przez zasłużone Polskie Wydawnictwo Muzyczne. Książka ta, chociaż jest fachowym podręcznikiem, napisana jest tak jasno, że może być czytana z korzyścią przez każdego miłośnika muzyki.

Ob. W. Gruszkowski z Gdańska. Wyjaśnieniem takich terminów, jak „allegro”, „toccata” i t.p. zajmujemy się wkrótce w osobnym cyklu informacyjnym pt. „Słownik wyrazów obcych w muzyce”.

Ob. W. Żulwik z Warszawy. Nie opisałem, jak wyglądają pałki, którymi bije się w kotły. Racja! — A więc są to pręty trzcinowe, zakończone kulka drewnianą, obciążoną kilkoma warstwami filcu.

Ob. S. i K. Majchrzakowie z Gniezna. Pytają Państwo, jak się wydobywa najgłośniejszy dźwięk z instrumentów blaszanych? — Decyduje o tym naturalnie siła zadęcia, ale prócz tego wyloty trąbek i puzonów unosi się lekko ku górze, a wyloty rogów, które normalnie zwrócone są w dół i do tyłu, odchyła się nieco w bok, w prawo. Tylko tuba zostaje w pozycji bez zmian, jedyna z wylotem prostopadle do góry.

Wielu Czytelników zapytuje, w których numerach „Świata” zawarty jest pełny cykl felietonów o orkiestrze i gdzie można byłoby nabyć numery brakujące? — Słuszne pytanie, gdyż ci spośród Czytelników, którzy będą chcieli wziąć udział w konkursie muzycznym „Świata”, powinni przypomnieć sobie wiadomości podane w naszych wykładach. Otóż cykl felietonów o orkiestrze zawarty jest w nr 14 — 18, 20 — 21 i od nr 24 do niniejszego. O brakujące numery należy zwracać się na adres: **RSW — Prasa, Delegatura II, Archiwum, Warszawa, ul. Wiejska 14.** Zamówione numery będą przysyłane za zaliczeniem pocztowym.

SPORT

PRZED WYŚCIGIEM POKOJU

Międzynarodowy kolarski Wyścig Pokoju, organizowany corocznie przez dwa bratnie pisma: „Trybunę Ludu” i „Rude Pravo” na trasie Warszawa — Praga, ma już swoje ustalone tradycje. Jest to największa amatorska impreza kolarska na świecie i gromadzi na starcie najlepszych kolarzy z całej Europy.

Oprócz Polaków startują w nim Węgrzy, Rumuni, Bułgarzy, Albańczycy, a także kolarze z robotniczych organizacji Francji, Danii, Anglii oraz zespoły NRD i francuskiej Polonii.

W dotychczasowych wyścigach wieloetapowych tryumfowali zarówno na poszczególnych etapach, jak i w klasyfikacji ogólnej przedstawiciele wielu państw. Niespodziewanie np. zwycięstwo w Wyścigu Dookoła Polski odniósł młody Polak z Francji — Sowa. Kiedy w roku 1949, zaraz po starcie na etapie do Katowic Sowa uciekł zwartej grupie kolarzy, nikt nie zwrócił na niego większej uwagi.

Młody jest — myślały stare, doświadczone wygi — przedko się „uszarpie”...

Sowa nie „uszarpiał” się jednak. Jadąc samotnie cały niemal etap, wpadł na metę w Katowicach jako zwycięzca.

To był wyczyn nie lada, wymagający doskonałej kondycji. Polscy kolarze wiedzą o tym i przygotowują się do tegorocznego Wyścigu Pokoju właśnie pod kątem uzyskania jak najlepszej kondycji. Już od 7 stycznia przebywają na obozie w Wiśle, gdzie będą do 15 lutego nabierać sił do trudnego wyścigu. W lutym wyjeżdżają do Wrocławia, aby tam trenować do 26 kwietnia. Program przygotowań kolarzy polskich przewiduje przejechanie do 26 kwietnia 3000 km.

Na pierwszym obozie kondycyjnym w Wiśle zgrupowano 12 kolarzy. Są to: Hadassik, Królak, Wójcik i Waliszewski (CWKS), Klubiński i Lasak (Gwardia W-wa), Drązkowski („Gwardia” — Szczecin), Wrzesiński i Czyż („Kolejarz” — W-wa), Chwiendacz („Górniki” — Mysłowice), oraz Świercz i Gabrych („Włókniarz” — Łódź).

Trenują ich najlepsi polscy fachowcy: Wisznicki, Rzeźnicki i Targoński. Sami kiedyś byli doskonałymi kolarzami, a Wisznicki zdobywał przed wojną laury nie tylko na szosie, ale i na torze. Rzeźnicki i Targoński jeździli jeszcze do niedawna i zaliczali się do czołówek polskiego kolarstwa. Dziś całą swą wiedzę przekazują młodszym kolegom.

Zgodna opinia trenerów głosi, że zawodnicy nasi rozumieją nałożone na nich zadania i trenują pilnie. Zwłaszcza, że w wyścigach eliminacyjnych, na których podstawie zostanie zestawiona reprezentacja Polski, weźmie udział 44 kolarzy spoza obozu, którzy też pilnie trenują i mogą poważnie zagrozić kandydatom do reprezentacji.

STANISŁAW PIOTROWSKI

Pomóc wypchnąć wóz na górę? Proszę bar-dzo, to też pomaga w nabraniu kondycji.



Pilnie słuchają kolarze interesującego wykładu trenera Wisznickiego na temat jazdy zespołowej.



Pańskie oko konia tuczy, mówi przysłowie. Hadassik sam przygotowuje rower do treningu.

NA ŁAMACH JEDNEGO Z NAJBLIŻSZYCH NUMERÓW „ŚWIATA” ODBEDZIE SIĘ WIELKI

KONCERT — KONKURS

w którym nasi Czytelnicy będą mogli wykazać się z nabytej wiedzy o orkiestrze symfonicznej.

Czytelnicy, którzy nadesłali prawidłowe odpowiedzi, otrzymają w drodze losowania

wiele cennych nagród

Bliższe szczegóły za tydzień.



BANDYCI CZY POLICJANCY?

W Chicago granica między tymi dwoma zawodami zatarła się już całkowicie. Podobnie zresztą, jak i w całej reszcie Stanów Zjednoczonych. Oto mały przykład:

Sam Rinella, stary doświadczony gangster z trzydziestoletnią praktyką, przerzucił się ostatnio na bardzo zyskowny

tylko o samą ich wyso-kość.

Rinella, oburzony tym zarzutem, oświadczył, że rzecz polega na nieporozumieniu. Albowiem miał on cichego wspólnika w osobie oficera policji chicagowskiej, kapitana Thomasa Duffy. Jeżeli Duffy nie płacił podatków od swojej części zarobków — to jego rzecz. Rewelacje Rinella zrobiły spore wrażenie w Chicago, bo Duffy uchodził za wyjątkowo uczciwego policjanta. Okazało się, że w Ameryce nie ma w tej dziedzinie żadnych wyjątków. Okazało się również, że Rinella postąpił bardzo nierozważnie. Bo już po kilku



GANGSTER...

proceder prowadzenia nielegalnych domów gry. Dorobił się na tym grubszego majątku i nawet płacił z tego tytułu podatki. Ale władze federalne szacowały nielegalne dochody Rinella wyżej niż on sam i oskarżyły go o nadużycia podatkowe na sumę 157.000 dolarów. Nikt oczywiście nie kwestionował samego źródła tych dochodów. Chodziło



...I POLICJANT

dniach znaleziono na ulicy przed domem w którym mieszkał, jego zwłoki podziurawione kulami. Kapitan Duffy ma podobno murowane alibi.

ŚWIĘTY MIKOŁAJ ZMILITARYZOWANY



Zgodnie z duchem czasu, panującym obecnie w Stanach Zjednoczo-

nym, nawet święty Mikołaj został zmilitaryzowany. W stanie Teksas

rozjeżdżał na czołgu stacjonującej tam dywizji pancerniej.

W Waszyngtonie wyrażano z tego powodu

głębokie zadowolenie. Panuje opinia, iż jest to dowód, że doktryna Trumana sięga już w zaświaty.

PROSPEKT GWIAZDKOWY

W Niemczech zachodnich, gdzie „amerykański styl życia” czyni ogromne postępy, święty Mikołaj dostanie czołg dopiero na przyszłą

Mikołaj ogłasza swe gwiazdkowe prospekty w gazetach, reklamując śliczne podarki dla dzieci i młodzieży, jak pistolety automatyczne i kara-



„gwiazdkę”, gdy nowy „Wehrmacht” będzie już dostatecznie zaopatrzony w ten typ pojazdów mechanicznych.

Tymczasem trizonoński

binki, „prawdziwe” czapki i tornistry wojskowe, skrojone ściśle według hitlerowskich wzorów. Słowem, edukacja w pełnym toku.

NA ŚMIETNIKU

Dzieci robotników i bezrobotnych w Niemczech zachodnich nie troszczą się bynajmniej, jakimi środkami lokomocji posługuje się święty Mikołaj. Mają inne zmartwienia: co włożyć do ust?

Zdjęcie poniższe ukazało się w „Muenchner

szukają w wysypiskach śmieci odpadków warzyw i owoców, które nadają się choćby częściowo do zjedzenia.

Władze miejskie w Hamburgu, z pobudek „sanitarnych” postanowiły położyć kres tym „niehigienicznym” praktykom i poleciły oblewać



Illustrierte” z dn. 8 grudnia 1951 r. Dokonane zostało na rynku warzywnym w Hamburgu. Kobiety i dzieci robotnicze

śmietniska chłodem. Ale to nic nie pomogło. Dzieci nadal szukają pożywienia wśród zatrutych odpadków. Są głodne...

ANTONI SŁONIMSKI

MIĘSO ATOMOWE

BERTRAND RUSSELL, filozof i sławny matematyk angielski źle się zestarzał. Zdarza się to czasem. Są ludzie, którzy mają „złe wino”, to znaczy upijają się w sposób przykry dla otoczenia. Russell ma złą starość. Znakomity niegdyś stylistą pisze teraz rozwlekłe i mętne artykuły. Pisze źle i w sposób przykry dla otoczenia.

Ostatnio w londyńskim tygodniku „Illustrated” pomieścił Russell swoje dłuższe wywody na temat przyszłej, nieuniknionej, jak twierdzi, wojny ze Związkiem Radzieckim. Jeśli czytelnicy angielscy wierzą słowom swego czołowego filozofa, nie pozostaje im nic innego, jak tylko, nie czekając na nowy numer „Illustrated” przywiązać sobie do szyi wszystkie tomy pism Russella i skoczyć do Tamizy. Filozof angielski oznajmia ni mniej ni więcej, że w razie wybuchu nowej wojny ludność Wielkiej Brytanii wyginie doszczętnie a pozostaną przy życiu na terenie Anglii tylko lotnicy amerykańscy. Russell pociesza jednak czytelników, że dzięki tej drobnej ofierze kraje zachodnie osiągną w ostateczności zwycięstwo. Pociesza również czytelników, że śmierć nie jest niczym strasznym, że jak się jest w jego wieku, to się już nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do życia.

A może jednak młodzi Anglicy mieliby ochotę dożyć sędziwego wieku Bertranda Russella? A może młodzi Anglicy nie uważają, że jedynym posłannictwem ich narodu jest ofiara całopalenia na ołtarzu amerykańskiego Molocha? Jeśli tak, powinni postąpić według logiki klasycznej, której uczył ich Bertrand Russell, to znaczy, wrzucić do morza lotników amerykańskich i razem z nimi Bertranda Russella.

Artykuł w „Illustrated” jest bardzo znamienitym przykładem nastrojów panujących w krajach anglosaskich, które dziś nowym pokoleniom dać nie potrafią nic poza ponurym katastrofizmem, nihilizmem lub wizją masakry światowej. Gangsterizm amerykański obiecuje swej młodzieży panowanie nad światem i pełne wyzucie instynktów sadystycznych. Anglikom przeznaczono małą, smętną rolę mięsa atomowego.

Artykuł ten jest również znamienity jeśli chodzi o karierę Bertranda Russella. Jest przykładem, jak degenerują się uczeni nawet tak wybitni, jak matematyk angielski, gdy zaczynają służyć złej sprawie.

Bertrand Russell zajmował się przez wiele lat logistyką. Słowo *logistic* ma w języku angielskim podwójne znaczenie. *Logistic* oznacza gałąź matematyki, ale *logistic* oznacza również kwatermistrzostwo. Obecne zainteresowania Russella mają niewątpliwie więcej wspólnego z tym drugim znaczeniem, to znaczy z zakwaterowaniem się lotnictwa amerykańskiego na wyspach Wielkiej Brytanii.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-88. Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50. Prenumerata i Kolportaż: PPK „Ruch”, Oddział w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 8-04-20 do 25. Prenumerata miesięczna zł 4.80 — kwartalna zł 14.40, półroczna zł 28.80, roczna 57.60. Należność za prenumeratę wpłacać do P.K.O. Nr 1-21040/110.

Zakłady Wkłóśłodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, Okopowa 58. 3-B-11533

Z TEKI SATYR

WALERIANA BOROWCZYKA



CIOCIA Z AMERYKI.



WYKŁAD ANATOMII.

Do USA wyjeżdżają byli oficerowie Wehrmachtu, aby po skończeniu specjalnego kursu objąć stanowiska w armii zachodnio - niemieckiej.



WERBUNEK.



ADENAUER TO NIE NIEMCY

CHINKI W TAŃCU KOREAŃSKIM

DWIE TANCEKNI CHIŃSKIEGO ZESPOŁU MŁODZIEŻOWEGO
W SCENIE BALETOWEJ OPERY P. T. „NAPRZÓD RAMIĘ PRZY
RAMIENIU”. OPERA MÓWI O WSPÓLNEJ WALCE OCHOTNIKÓW
CHIŃSKICH I LUDU KOREI, PRZECIW AGRESOROM AMERYKAŃSKIM.

